Przesyłka pocztowa opłacona ryczałtem.

Nr. 36 (540). *WARSZAWA, 7 września 1929 r.* *ROK XXII.*



ŁOWIEC POLSKI

ORGAN CENTRALNEGO ZWIĄZKU POLSKICH STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH

KONTO P.K.O. „Centralny Związek Polskich Stowarzyszeń Łowieckich" 8082.
ADRES: NOWY - ŚWIAT 35. TELEFON 7-98.

Pismo tygodniowe. Wychodzi w każdą sobotę.

PRENUMERATA: zgóry za kwartał zł. 8; za pół roku zł. 15; za rok zł. 28. — Miesięcznie 3 zł. — Numer pojedynczy — 1 zł. **Numer ozdobny 1 zł. 50 gr.** Za numery, które wyszły przed zapłaceniem, liczymy po 1 zł.

CENA OGŁOSZEŃ: Milimetr za tekstem 40 groszy; cała strona — 224 zł., ½ — 112. ¼ — 56. ⅛ — 28. Przed tekstem — 50% drożej; na karcie tytułowej — 100% drożej.

W numerach ozdobnych: za tekstem 60 gr., strona — 336 zł., ½ — 168; ¼ — 84. ⅛ — 42. Przed tekstem — 50% drożej. Na karcie tytułowej i okładce — 100% drożej.

Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%.

Czesław Odrowąż-Pieniążek — W CESARSTWIE MENELIKA.

Tymczasem chleb mój wyrósł ogromnie i był gotów, tak się jednak przyrumienił od spodu, że połowę jego, spaloną, musiałem wyrzucić. Nawet moi czarni nie znaleźli żadnego smaku w tym zamorskim delikatesie.

Przez całą noc włóczyły się koło obozu hippopotamy, zastępując nieobecne tu hieny. Wieczorem następnego dnia wybrałem się na hipopotamy, gdyż chciałem nareszcie mieć w całości trofeum, a nie jakieś pozostałe resztki, jak to było z pierwszym. Podszedłem stadko, żerujące w płytkiej wodzie, na 15 kroków, w jasną noc; towarzyszący mi ludzie, na widok tych, tak blisko stojących i, zdawałoby się, groźnych potworów, trzęśli się ze strachu, powstrzymując mnie za poły mojej pyżamy od dalszego pchania się naprzód. Strzeliłem do grubej sztuki, ledwo mogąc rozróżnić, gdzie jest łeb, a gdzie ogon; wpakowałem cały pięciostrzałowy magazyn. Rozległo się charakterystyczne pac, pac, pac... Trudno jest wprost opisać zamęt, jaki powstał w niefortunnej rodzinie hipopotamiej. Przyznam się, że przysiadłem ze strachu, ładując gorączkowo drugi magazyn. Miałem wrażenie, że te potwory może przy moim boku zechcą szukać schronienia. Stadko zniknęło, z wyjątkiem postrzelonej sztuki, która wolniej ruszając się, nim się zanurzyła, otrzymała jeszcze dwa strzały.

przy brzegu wygniecioną trawę i ślady wyciąganego cielska. Drobne ochłapy mięsa — to było wszystko, co pozostało po moim hipopotamie i uczcie tu odbytej, — tym razem nawet kości zostały ze ścierwem zabrane.

Moje próby fotografowania nadobnych piękności wystraszyły zupełnie kobiety, przychodzące normalnie do źródła. Zjawił się natomiast jakiś dzikus, ubrany w leopardzią skórę, z piękną tarczą ze skóry bawolej, w asyście kilku innych drapichrustów, uzbrojonych w lance; zaczął on mi robić wymówki, że napastuję kobiety jego szczepu, i żądał ode mnie natychmiastowego opuszczenia tego miejsca. Odpowiedziałem mu przez tłumacza, że wyruszę dalej dopiero wtedy, kiedy to będzie dla mnie dogodne. Widocznie zły, mrucząc coś — odszedł.

Po obiedzie, aż do wieczora, zaczęły się podejrzanie kręcić wokoło obozu, grupki uzbrojonych bojowo, czarnych, unikając zwykłych rozmów codziennych z moimi ludźmi. W nocy, obudziwszy się, wyszedłem zobaczyć, co robi wartownik dzisiejszy — Gagi (ten młody przewodnik z Sidamo). Ogniska paliły się jasno. Przystanąłem na chwilę, wsłuchany w pobliski skowyt szakala, gdy nagle coś mię ukąsiło boleśnie w nogę; schyliłem się, w tej samej chwili koło



Bezcelowe było dalsze czekanie, wiedziałem, że dopiero po kilku godzinach, w najlepszym wypadku, hipopotam postrzelony wypływa na powierzchnię.

Wróciłem spać. Ledwo zasnąłem, zbudził mnie ogromny gwar: w blasku palących się ognisk, jak zwykle koło obozu, kręciło się kilkadziesiąt dzikich, uzbrojonych postaci, o typie zupełnie innym, niż spotykane dotąd. Przybiegł wystraszony Engeda; od niego dowiedziałem się, że przybysze ci zostali zwabieni strzałami rzadkimi w tej okolicy. Zawiadomiłem ich, że teraz chcę spać i żeby przyszli jutro równo z brzaskiem, celem odnalezienia zastrzelonego hipopotama, obiecując im wzamian poczęstunek jego mięsem. Groźna rzesza, dowiedziawszy się jeszcze, gdzie hipopotam był strzelany, rozwiała się jak mara; więcej ich już nie widziałem, jak również i mego hipopotama, który znalazł widać schronienie w ich bezdennych żołądkach.

Rano wyruszyłem na poszukiwania; — w odległości kilometra od miejsca, gdzie polowałem, znalazłem

mojej głowy przeleciał ze świstem nademną schylony dziryt, wbijając się w ziemię opodal. Skoczyłem po Colta do namiotu i strzeliłem, stojąc w jego cieniu, w kierunku przypuszczalnym napastnika. Przytłumiony tentent licznych nóg zdradziło mi dokładny kierunek; strzeliłem jeszcze kilka razy, z góry wiedząc, że i tak w tych gąszczach, otaczających dalej źródło, nikomu krzywdy już teraz nie zrobię. Na odgłos strzałów wybiegli z namiotu moi ludzie. Nakazałem natychmiastowe zalanie ognisk i śpieszne pocichu przygotowanie się do drogi. Słowem, po raz pierwszy uciekałem!

Kiedyśmy wyruszali o szarym świcie, nikt nas widać nie spostrzegł, gdyż w spokoju zagłębiłem się w gaje euforbij. Przewodnik zgubił dwukrotnie drogę do tej misji, która miała się znajdować w wysokich, w oddali majaczących w porannem zamgleniu — czarnych górach.

Po kilku godzinach, ciągle pod górę w gęstwinie, zmienił się krajobraz. Busz, palmy, euforbje znikły —

znalazłem się jakby w przepięknym parku angielskim. Step był usiany bukietami rozmaitych liściastych drzew.

Zacząłem sam prowadzić, gdyż młody przewodnik wahał się ciągle, czy iść tu, czy tam. Wydeptana dróżyna zaczęła się piąć stromo pod górę, wijąc się w olbrzymim, zbitym, tropikalnym lesie cedrów niebotycznych, drzew kauczukowych, bambusów, palm gęsto podszytych i powiązanych lianami i inną pnącą się roślinnością.

Tutaj zastrzeliłem kulą na szczycie wiekowego cedru pierwszą moją małpę Goreza, która spadła nieżywa na ziemię razem z niewidocznem z początku, małem małpiątkiem. Biedne maleństwo trzymało się kurczowo puszystego futra matki! Wzięte za rękę, przytuliło się zupełnie przyjaźnie do mnie, piszcząc od czasu do czasu. Miałem nowy kłopot! Niańczenie przez dwa dni sieroty.

13-cie godzin szliśmy tak pod górę bez końca tym lasem wilgotnym, tajemniczym i ciemnym. Spotkany dzikus, który schodził na dół, poinformował mnie, że miejscowość Aurara, do której zdążałem, a gdzie się znajdowali dwaj ojcowie kapucyni — jest już nie-



daleko. Tymczasem słońce zachodziło, las, bez tego już ciemny, coraz bardziej zazdrośnie ukrywał i tak mało widoczną ścieżkę. Na szczęśliwie spotkanej polance zatrzymałem się. Znajdowało się tam jakieś zrujnowane i opuszczone osiedle. Zacząłem strzelać z Colta i kazałem trąbić, w nadziei, że może ktoś z pobliskiej, jak mi się zdawało, Misji, przyjdzie i wskaże mi w panujących już zupełnie ciemnościach drogę. Niestety, nikt się nie zjawił.

Rozładowaliśmy muły. Zmęczony, głodny i zirytowany, siadłem przy ognisku, zastanawiając się, co dalej robić, gdyż w takich warunkach jeszcze nigdy nie obozowałem.

Obóz Nr. 11 A.

Z tej smętnej zadumy wyrwał mnie swąd spalenizny i jakieś dziwne światełko na leżącym, jeszcze nie ustawionym, moim namiocie. Poderwałem się z miejsca — mimo zmęczenia wprost nie do opisania. Tlił się mój namiot nieprzemakalny. Ostatki wody gotującej się herbaty wylałem, by ratować od zniszczenia moje tak cenne mieszkanie. W namiocie trzy dziury — a ja bez herbaty, z małpą u piersi, położyłem się spać na ziemi.

Znajdowałem się znowu na wysokości 2800 m., noc była zimna — zmarzłem jak pies, co również odczuło i moje małpiątko, niedające mi swym piskiem zmrużyć oka. Był to najgorszy nocleg podczas całej czteromiesięcznej ekspedycji.

Rankiem zjawiło się dwóch biało ubranych starców ze szczepu Amara, z pobliskiej, jak się okazało, odległej tylko o pięć minut drogi, Misji Katolickiej ojców kapucynów.

Obóz Nr. 11 B.

Udaliśmy się do Misji. Zabrałem się natychmiast do reparacji swego „homu". Po kilkugodzinnej pracy igłą, która szła mi niesporo, załatałem jako tako dziury, klnąc, na czem świat stoi, swoich ludzi, z których żaden, nawet Engeda, nie śmiał się do mnie zbliżyć. Ledwo ustawiliśmy namiot — lunął deszcz jak z cebra.

Ojców, kapucynów białych, nie zastaliśmy — znajdowali się oni w osiedlu Misji, położonem o parę godzin drogi niżej; tutaj dochodzili tylko na Mszę Świętą co niedziela. Właśnie jutro mieli tu przybyć.

Miejscowi czarni, już nawróceni katolicy, bardzo gościnnie zajęli się mną, obdarowując chlebem, masłem, jajami, miodem, mlekiem i ziarnem moją karawanę; nie chcieli przyjąć zupełnie jakiegokolwiek wynagrodzenia. Byłem tą niezwykłą gościnnością bardzo zdziwiony, znając chciwość dotychczas spotykanych gdzieindziej mieszkańców.

Małpkę oddałem tymczasem na wychowanie do lasu, gdzie jakaś bezdzietna, poważna matrona zlazła z drzewa, usłyszawszy pisk białego maleństwa, i w moich oczach uniosła je w objęciach na pobliski figowiec. Całej, tak przygodnej adoptacji przyglądała się liczna rzesza małp, siedzących na gałęziach, kiwając się i szczerząc zęby, jakby pochwalała mój postępek.

Pomiędzy darami znajdowała się również dzieża pełna „talu" (piwa). Ludzie moi, a w szczególności tłumacz Engeda, nadużyli wyraźnie tego niewinnego trunku i chodzili, zataczając się koło obozu. Engeda zapytany, co mu brakuje, trzymając się za brzuch i przewracając oczami, przysięgał, że czuje się bardzo a bardzo źle i już więcej nigdy tego paskudztwa pić nie będzie.

(C. d. n.).



ORYGINALNE POLOWANIE NA DZIKI W DŻUNGLACH DORZECZA SYR-DARJI.

WSPOMNIENIA ZE STEPÓW KIRGIZKICH.

Przed ostatnią wielką wojną mieszkałem w Orenburgu t. j. na samej granicy Europy i Azji. Od Orenburga na wschód ku Taszkentowi, leżącemu już w Azji środkowej, ciągną się olbrzymie stepy Kizgizkie, z czego nie omieszkałem skorzystać, by robić tam wyprawy łowieckie, zawsze ze znakomitym wynikiem.

Jeżeli cały ten, 1.000 przeszło kilometrów wzdłuż i wszerz obejmujący szmat ziemi, jest wymarzonym terenem łowieckim, zwłaszcza dla myśliwego — przyrodnika, to wschodnia część stepu bliżej gu Taszkentowi stanowi prawdziwy, naturalny zwierzyniec o niesłychanie ilościowo bogatej i urozmaiconej faunie, a znacznie już odbiegającej od europejskiej, choć nie brak i przedstawicieli tej ostatniej. Najciekawszy jednak teren pod tym względem przedstawia porzecze Syr - Darji, — istna dżungla o swoistym charakterze. Duża ta rzeka, mająca swe źródła w zachodnich Himalajach, przepływa tu po b. rozległej, zlekka tylko falistej równinie, by następnie ujść do morza Aralskiego. Po jej rozlewach wiosennych na ogromnej przestrzeni pozostają w zagłębieniach terenu tysiące większych i mniejszych jeziorek, z których drobniejsze wysychają w gorącym tu już klimacie prawie doszczętnie. Cała ta rozległa przestrzeń pokryta jest, zwłaszcza bliżej rzeki, gąszczem zwartej trzciny podobnej do naszej wodnej, lecz wyższej, grubszej i twardszej, która starzejąc się i łamiąc utworzyła gruby naściół od spodu już zbutwiały. Tylko wzgórza coraz częstsze ku północy pokrywają gęste, kolczaste gaje dzikiej figi i osobliwej rośliny, zwanej tu „saksauł", której podziemne a po wyschnięciu twarde, jak krzemień, korzenie stanowią tu jedyny, ale znakomity opał. Najrozmaitsze ptaki, z mniej licznym flamingiem, rzadką czaplą czerwoną, masami potężnych orłów górskich i sępów, można liczyć tu na dziesiątki tysięcy. Kraj ten jest też ojczyzną bażanta pospolitego (Phasianus mongolicus) importowanego stąd do Europy, i dziś nawet dość pospolitego w naszym zwierzostanie. Zwierzyna sierciowa, mająca w swoim składzie panterę azjatycką i dość wprawdzie rzadko trafiającego się tygrysa bengalskiego, jest może naogół mniej liczna z wyjątkiem dzików, najzupełniej podobnych do naszych. Jak mnie upewniano na miejscu, można je tu liczyć na tysiące. Może to i przesada myśliwska a może i nie, jeżeli wziąć pod uwagę, że rocznie wywożą je myśliwi - przemysłowcy setkami z okolicznych stacyj kolei Taszkenckiej, która przebiega wzdłuż stepu i łączy Orenburg z Taszkentem.

Głównym punktem wysyłki tych dzików jest stacja Perowsk, gdzie w owym czasie dla myśliwych amatorów grał główną rolę niejaki Stiepan Nikiticz, pomocnik zawiadowcy stacji, sam mniej pochopny do myśliwki, ale dobry organizator, głównie dlatego, że miał w rękach myśliwych przemysłowców, gdyż od niego zależała ekspedycja zwierzyny. Pomimo, że zapolowanie na tygrysa lub panterę więcej daje emocji, jednak sam nie wiem dlaczego, tylko te syrdaryjskie dziki nie dawały mi spokoju, wyprawa taka jednak wymagała straty kilku, a może więcej dni, a czasem tym nie rozporządzałem w dni powszednie.

Wkrótce jednak nadchodziły święta ruskiego Bożego Narodzenia, obchodzone tam wówczas solennie i nie krótko, bo od 25 grudnia do 1 stycznia włącznie, a choć pora ta niezbyt się nadawała do polowania, gdyż prawdziwy rosjanin musiał być przez ten czas mniej więcej stale pijany, postanowiłem zrealizować raz wreszcie te moje dzicze marzenia. Zaopatrzyłem się w list polecający do Stepana Nikiticza od wysokiego jego zwierzchnika, inżyniera L., któremu on posadę swą zawdzięczał, i już 24 grudnia wieczorem stanąłem w Perowsku. Stepan Nikiticz był akurat na służbie, nawiasem mówiąc, dobrze już po świątecznemu nastrojony, czy ustrojony, więc mogłem mu glejt wręczyć natychmiast. Pismo to od wysokiego jego zwierzchnika, mimo uprzejmego charakteru, równało się w owe czasy rozkazowi, to też po przeczytaniu go jakby wytrzeźwiał zupełnie i zaczął mnie upewniać, że wszystko przedsięweźmie do ułatwienia mi polowania, ale uprzedził, że przed czwartym dniem świąt zrobić tego nie będzie można. Jedynymi organizatorami takiej wyprawy, mówił, są tu myśliwi - przemysłowcy, ludzie religijni i zabobonni, którzy w pierwsze trzy dni tak uroczystego święta za nic w pole nie wyjdą, a wreszcie są już dziś tak pijani, że wcześniej jak za trzy dni nie wytrzeźwieją.

Co było robić, czekać w tem pijackiem towarzystwie nie miałem ochoty, więc następnym, nocnym pociągiem wyjechałem do Taszkentu pozostawiwszy pieniądze na depeszę, żeby mię, jak wszystko będzie gotowe, pod wskazanym adresem zawiadomiono.

Postanowienia swego nie żałuję. Taszkent bowiem, którego przedtem nie znałem, jest b. ładnem miastem w ruskiej dzielnicy, a niesłychanie ciekawem w czysto azjatyckiej, zamieszkanej przez Sartów.

Po dwu dniach otrzymałem depeszę zawiadamiającą mnie na wieczór trzeciego dnia świąt, gdyż następnego dnia rano miało być wszystko gotowe i we wskazanym terminie byłem znowu w Perowsku.

Na czwarty dzień około 7 rano zbudzono mnie zawiadomieniem, że konie są już gotowe musieliśmy bowiem jechać na posterunek, gdzie czekali myśliwi, jakieś kilkanaście kilometrów. To też po herbacie wziąłem sztucer, a Gryszkę, wyrostka, który mnie obsługiwał i stale mi towarzyszył, uzbroiłem w swoją

dubeltówkę, i ruszyliśmy w drogę. Czas był przedświczny, tylko lekki mrozik ściął powierzchnię ziemi, stepowe konie szły, jak wiatr, tak, że po jakich trzech kwadransach stanęliśmy na miejscu, gdzie oczom moim przedstawił się oryginalny widok: Mała dolinka otoczona gęstemi ścianami suchej już trzciny; pośrodku stało trzech rosłych i barczystych chłopów, jak dęby, w wieku lat trzydziestu kilku każdy, o twarzach dość może sympatycznych, lecz zapitych i ponurych, wszyscy prawie jednakowo ubrani w szare, mocno brudne bluzy przepasane dość szerokim pasem, u którego wisiał w skórzanej pochwie długi nóż, b. podobny do kuchennego. Przez ramię mieli przewieszone na ukos, długie, cienkie, lecz na wygląd mocne linki, a na nogach dobrze już znoszone, a jeszcze brudniejsze buty filcowe, lecz nikt z nich nie miał broni palnej. Całą tę niewielką dolinkę zapełniło ze dwadzieścia, a może więcej psów zwykłych, rosłych kundli najrozmaitszej maści, a również pomocnych, jak ich właściciele.

Był to żywy obrazek z życia legendowych brygandów średniowiecznych. Grysza przedstawił mnie towarzystwo i w tej chwili ruszyliśmy w drogę. Nadmienić muszę, że zdumiała mnie planowa i celowo dostosowana organizacja tej skądinąd dzikiej, przedhistorycznej wyprawy. Weszliśmy w dość szeroką ścieżkę wśród trzcin; najbarczystszy z myśliwych wysunął się naprzód; za nim po bokach tworząc trójkąt, postępowali dwaj inni, w trójkącie ja z Gryszą, widocznie był to ich dowódca, za nami samorzutnie ruszyła cała psiarnia bez najmniejszego szczeknięcia, warku i innego głosu. Po przejściu kilkudziesięciu kroków, dowódca przystanął, obejrzał psy i z tajemniczym jakimś szeptem wskazał ręką na prawo i na lewo. Na to skinienie wydzieliły się dwa psy i znikły w ścianach gęstej, suchej trzciny, trzymając się każdy swej strony, poczem pochód ruszył wolnym krokiem. Tak szliśmy z 1 i pół, a może ze 2 kilometry, nasłuchując uważnie. Już mnie ta bezbarwność i brak wrażeń nudzić zaczęły, aż tu naraz z lewej strony dało się słyszeć o jakieś kilkadziesiąt kroków, ostre, krótkie, ale tylko jedno szczeknięcie, które zelektryzowało tłoczącą się za nami psiarnię. Powstał niesłychany rwetes, wszystko to rzuciło się w trzcinę, skąd się dało słyszeć szczeknięcie, słychać tylko było trzask i łomot łamiącej się naściołki. Czekaliśmy potem kilkanaście minut, przyczem dowódca bacznie nasłuchiwał, aż w końcu wydał jak krótki rozkaz „gotowe". Wzięto mnie pod ramiona, uważając słusznie, że przez te szuwary przedrzeć się sam nie będę umiał i, po przejściu jakich 100 — 120 kroków u'rzeliśmy niewielką polanę, a na niej górę psów, w której nietrudno się było domyśleć dzika. Dowódca podszedł do tego kopca z lewej strony, odrzucił, jak piłkę, jednego psa, a następnie drugiego, a gdy zaczerniała duża plama, wydobył nóż z pochwy i podając mi go z pewną kurtuazją, rzekł: „Niech pan kolnie". Nie wiem, czy mi kto wstrętniejszą propozycję kiedy zrobił. Odruchowo cofnąłem się wtył i przyknąłem oczy. Drab, nie zachęcając mię już więcej, wbił po rękojeść nóż w bok ofiary, zakręcił nim i otarł ściekającą krew o szerść dzika. Psy automatycznie zaczęły złazić na ziemię, drugi osobnik wykręcił dzika za tylne nogi do góry brzuchem, a trzeci płatnął nożem po brzuchu, wypuszczając trzewia. Za chwilę cała psiarnia z warkiem rozciągnęła już wnętrzności po polanie. Cała ta niesłychanie wstrętna operacja trwała wszystkiego z 15 minut, a może nawet mniej, ale wystarczyło to, ażeby mnie napełnić wstrętem do tego rodzaju łowów na zawsze. Założono następnie linki i przeciągnięto kadłub do ścieżki.

Po tem wszystkiem straciłem zupełnie ochotę do dalszego polowania, co podzielali i moi współmyśliwi, którym się widocznie śpieszyło do świątecznej wódki. Jaknajśpieszniej szedłem do koni, by dostać się na stację, i tego samego dnia jeszcze odjechałem do Orenburga, klnąc się na brodę proroka, że na drugie takie polowanie nikt mnie już nie skusi.

Później odwiedzałem Perowsk kilkakrotnie i zabiłem dwie ładne pantery, jedną nawet przy bardzo sensacyjnych, choć nieszczęśliwych okolicznościach, po otrzymaniu bowiem ciężkiej rany poszarpała tak strasznie naganiacza kirgiza, że ten wkrótce ducha wyzionął.

O. M. T.

ŁOWY NA SZCZUPAKA.

W puszczę borów Augustowskich wjechałem już po południu, zamiast rano, z przyczyn niezależnych odemnie, pomimo pośpiechu, z jakim pragnąłem dostać się do leśniczówki, ukrytej w centrum kniei, wybrawszy się na toki głuszców.

Zanim przebyłem 24 kilometry, po piaszczystej, miejscami gęsto korzeniami poprzerastanej drodze— ciemno poczęło się robić na dobre. Ledwie dopchałem się do celu podróży, równocześnie z nadejściem ciemnej nocy.

Gościnnie wita mnie, zdziwiony i uradowany gospodarz, p. W., i odrazu przystępuje do sprawy, która obchodzi mnie najwięcej:

Objaśnia, że głuszce są, grają już dobrze i czekają. Dziś jednak, nie spodziewając się już mojego przyjazdu, na zapady nikogo nie wysyłano, a zatem głuszce są niezasadzone.

Zapytuje mnie pan W., czy nie jestem zbyt zmęczony, i proponuje jazdę w nocy na jezioro, aby zapolować na ryby z ością, gdyż dziś właśnie wybiera się tam, korzystając z odpowiedniej pogody.

Chętnie godzę się na zobaczenie ciekawych, nigdy niewidzialnych łowów.

Wiem, że pan W. z zamiłowaniem uprawia ten sport, opowiadał mi często o nim z zapałem.

Noc zapowiada się piękna, ciemna i cicha, taka, jaka być powinna do tego rodzaju łowów; przytem ciepła; tembardziej zachęca mnie to do miłego spaceru. Po powrocie zdążę wyspać się i wywczasować do wyprawy myśliwskiej.

Po sutej kolacji, gospodarz krząta się wśród przygotowań do wyjazdu; wydaje dyspozycje i wkrótce pojedyńczy wózek podjeżdża, zaprzężony w siwkę, znaną mi już ze swych zalet.

Umieszczamy się na siedzeniach ze słomy, lokując ostrożnie dwie ości o długich tykach, jako główne rekwizyty do naszej wyprawy.

Reszta potrzebnych utensyljów przebywa stale na miejscu, w gajówce nad jeziorem.

Ości pan W. piastuje zawsze przy sobie, ceniąc je jako specjalnie przystosowane do potrzeb.

Do takich łowów potrzebne są dwie ości, gdyż jedna czasami złamać się może, wtedy druga jest w zapasie.

Bywają przytem wypadki, że na grubszą sztukę potrzebne są obydwie.

Ta możliwość spotkania się z grubszą rybą zainteresowała mnie bardzo.

Już wydostaliśmy się z podwórka, bezpośrednio w las. Siwka, człapiąc ciężkiemi kopytami o ziemię, ciągnęła nas truchcika tam, gdzie wiedziała, że droga jest równiejsza. Często też zwalniała; wtedy, albo po piasku, lub pod górę, toczył się wózek, a najczęściej kołatał po korzeniach i skacząc z nich w dołki, trząsł nami i rzucał z boku na bok.

Ciemność ogarnęła nas kompletna.

Nad nami jaśniało wąskim paskiem między konarami ciemnych ścian boru niebo, co wskazywało, że siwka nie zmyliła drogi.

Rola chłopca, trzymającego lejce, ograniczała się tylko do tego zadania, gdyż co do kierunku jazdy, wszyscy polegaliśmy na inicjatywie siwki, która wiedziała, gdzie skręcić trzeba, gdzie zwolnić tempo, lub przyśpieszyć.

Z równym skutkiem można było lejce zaczepić za kłonicę.

Po blisko godzinnem obijaniu sobie boków, wśród ciemności pachnącego lasu, ujrzeliśmy przed sobą otwartą przestrzeń, wolną od niebotycznych drzew. Zapachniało wodą, ujrzałem dachy zabudowań i z górki stoczyliśmy się w podwórko.

Tu oczekujący na nas, trzej bracia: jeden gajowy, drugi rybak, trzeci najmłodszy, bez określonej specjalności, przystąpili do wiadomych im, zwykłych przygotowań.

Nad brzegiem jeziora, gdzie stała łódź, znaleźliśmy się teraz, minąwszy podwórko.

Zamiast latarni, służyła nam, trzeszcząca ogniem, duża, smolna drzazga w ręku Antona, jednego z braci, którzy mają nam towarzyszyć w wyprawie. Na dziobie łodzi, na żelaznym drągu metrowej wysokości, umieszczono również żelazny kosz, w którym przygotowane drzewo rozpala już Mikołaj, przyszły wioślarz.

Do łódki wniesiono już worek ze smolnem łuczywem, na zapas, by po kawałku dokładać do ognia, w miarę wypalania się drzewa w koszu.

Przygotowano wiosła, doprowadzono do porządku ławki i ster, Anton zaś wniósł z godnością ości — nie zbędne i najważniejsze narzędzia do dzisiejszych popisów. Tak zwana „ość" jest to jakby żelazny widelec, o czterech, czy pięciu kolcach; każdy z nich, ostro zakończony, jest długości i grubości zwykłego ołówka, zaostrzony jest w zębate nacięcia, żeby utrudnić trafionej rybie, wyrwanie się. Palcate to żelazo osadzone jest na kiju. Kij ten musi być jaknajdłuższy, możliwie mocny i, przy pewnej elastyczności, lekki i cienki.

Tak też były osadzone nasze ości, na tyczkach ze specjalnie przygotowanego drzewa. Każde drzewce jest długości chyba ponad 5 metrów. Najmłodszy z braci zajmuje miejsce przy sterze, Mikołaj bierze do ręki wiosło, Anton, na razie doprowadza do porządku ognisko.

Siadamy z panem W. każdy na swojej ławce. Zepchnięto od brzegu łódź, która uniosła nas na taflę równej, gładkiej powierzchni wody.

Lekko trzeszczący ogień oświeca naokoło przedniej części łodzi ciemną wodę, prześwietlając ją do samego dna, w promieniu, w jakim sięga działalność ości.

Z boków i przed łodzią widać wyraźnie i jasno, co znajduje się w wodzie, dalszy krąg już mniej oświetlony, a światło stopniowo, coraz słabiej sięga, w końcu ginie, otoczone czarnym kręgiem ciemności. Nad nami niebo jaśnieje trochę, świecąc nielicznemi gwiazdami; posuwamy się wraz ze świetlanym krążkiem, rozjaśniającym głębię ciemności.

Głębokość wody nie dochodzi metra i na takiej trzymamy się stale. Na płytszej lub głębszej wodzie kłucie ryb jest utrudnione, a nawet niemożliwe.

Na obszernej przestrzeni jeziora, starczało nam odpowiedniego terenu, i długo pływaliśmy nad jednakowo głębokiem dnem, przeważnie złocącym się od światła żółtym piaskiem, nad którym w rozmaitych miejscach mijaliśmy, nieruchomo stojące, jakby oślepione światłem ryby i rybki różnej wielkości i odcieni i kolorów złota i srebra.

Kiedy łódź popchnięta silnie, wprawną ręką wioślarza, sunęła gładko po powierzchni, zdawało się, że dno jeziora i woda z rybkami z pod łodzi w tył nam się usuwa, a my stoimy w miejscu.

Zapasowa ość leży w łódce, a drugą pan W. czujnie, przepisowo trzyma i kiedy zauważy coś godnego próby, szybko daje pchnięcie w wodę, bliżej lub dalej łódki i najczęściej wyciąga ość z wijącą się na kolcach rybą, którą po zdjęciu z żelaza umieszczają w specjalnej przegrodzie, na ten cel przeznaczonej w łódce.

Czasami bywa „pudło", lub pchnięcie, kiedy ryba zdążyła umknąć. Wtedy ość unosi się nad wodą pusta, a słychać szept brzydkich wyrazów niezadowolenia.

Pan W. widząc, że ciekawie przyglądam się jego popisom, daje mi zapasową ość, namawiając, bym spróbował, jak mnie się też uda?

Zaopatrzony w niezwykłą broń, pod wskazówkami specjalisty, uczę się trzymać ją w rękach, z tem, że mam próbować celnych ruchów do mniejszych, pogardzanych rybek, pokaźniejsze pozostawiając panu W.

Pierwsza, większa nieco od śledzia, żółcąca się jaskrawo, umknęła mi, zanim kolcami dotknąłem wody; druga spotkana, poszła nietrafiona, po nieudolnem pchnięciu. Pomimo objaśnień i wskazówek, po kilku nieudanych próbach, zniechęcony, zaniechałem dalszych ćwiczeń. Wiem, że ani mnie to nie zachęci, ani też dalszych sposobności mieć nie będę do tego sportu.

Przekonałem się tylko, że nie jest to takie łatwe, jak zdawałoby się pozornie.

Przedewszystkiem, skutkiem łamania się światła w wodzie, rybę widać gdzieindziej, niż ona się w istocie znajduje, to też gdzieindziej kłuć trzeba — nie w rybę, lecz niżej.

Następnie, ość trzymać trzeba tuż nad wodą, nie dotykając ostrzami powierzchni, by upatrzywszy ofiarę, nie wykonywać ruchu ze zbytniej wysokości, bo ryba spłoszona tem, zdąży zmienić miejsce, jak również płoszy ją powolne, przedwczesne zetknięcie ości z wodą. Spostrzegłszy zatem rybę, wyciągnąć należy ość ostrożnie nad samą wodą, nie tykając jej jednak, i wprawnym, energicznym ruchem pchnąć szybko, sięgając celnie po rybę. Parę ładnych linów i innych dość dużych ryb, niewiadomej mi nazwy, było już na rozkładzie.

Łódź cicho unosi się stale naprzód, łagodnie popychana przez doświadczonego Mikołaja.

Ogień na dziobie łodzi chwilami przygasa, lub rozjaśnia się przez podkładanie świeżych smolniaków z przygotowanego zapasu.

Chwilami mniejszy i słabiej oświecony krąg otacza nas, lub znowu szerzej i jaśniej światło podsycane sięga. Żarzące się węgielki z sykiem opadają na wodę, gasnąc wtedy, czernieją i pozostają za nami na lekkich falach, poruszanych przepływającą łodzią. Spokój i ciemna, wilgocią przesycona cisza, otacza nas wokoło.

Cała załoga nasza zachowuje się uroczyście, do przesady cicho.

Z wody unosi się wilgotna woń wodorostów, a w miarę, jak łódka podpływa do brzegu, dochodzi żywiczny zapach lasu, który nad brzegiem zaraz zaczyna się wielkiemi sosnami.

Zapach ten wskazywał wioślarzom, jak daleko znajdujemy się od brzegu, i zależnie od tego kierowano łodzią, gdyż w ciemnościach niepodobna było inaczej określić odległości.

Czasami z głębin puszczy odezwał się donośny głos żórawi, a raz usłyszeliśmy nieokreślony, jakiś niewyraźny, choć głośny zgiełk, to podobno gryzły się wilki.

Nagle widzę niezwykłą zmianę w spokojnem dotąd zachowywaniu się pana W. Podniecony, pośpiesznie, nerwowo, sięga ością do ramienia Antona i trącając go, pokazuje wodę w lewo od łodzi. Anton spojrzawszy we wskazanym kierunku, z wyrazami: „to cholera", chwyta podaną mu ość z rąk pana W.,

przygotowuje ją sobie jak należy, podając odpowiednie znaki w kierunku wioślarza i sternika. Na razie nie orjentuję się, co to wszystko znaczy. Zrozumiałem tylko, że spostrzeżono coś poważniejszego i teraz wystąpić ma do roboty mistrz w osobie Antona, który dotąd skromnie czuwał tylko nad ogniem. Niezarozumiały pan W. nie dowierzając jeszcze swojej wprawie, oddał w pewniejsze ręce, ewentualne zdobycie poważnej sztuki.

Jak się dowiedziałem, zauważono olbrzymiego szczupaka, przypuszczalnej wagi pół puda.

Teraz i mnie udzieliło się podniecenie i śledziłem ciekawie, wspólne, zgodne i umiejętne zabiegi całej załogi.

Główny bohater akcji, poprawił ognisko, szybko dołożył drzewa i niemymi ruchami dawał znaki, uważającym na niego pomocnikom, którzy wykonywali zgodnie i cicho, wskazówki, dla nich tylko zrozumiałe.

Sam, na burcie łodzi przy samym jej czubie, oparł wysoko nogę, i nachylony nad wodą, chciwie i uważnie wpatrywał się w nią, trzymając ość pod pachą.

Łódka skręciła trochę i pomknęła szybciej.

Po chwili skręciliśmy w inną stronę i powoli poczęliśmy okrążać kępę, jaką tworzyły zielone czubki tataraku. Zauważyłem, że uzbrojony Anton, nachylony nad wodą, śledzi coś uważnie i rozwiązuje jakieś zagadki, według których daje wskazówki pomocnikom w pościgu za łupem.

Odpowiednio do dyspozycji, łódka to w tę, to w inną stronę, raz wolniej, raz szybciej jest popychana, zależnie od potrzeby wywołanej sytuacją. Powoli, obserwując wszelkie zabiegi, poznaję, że posuwamy się „za tropem zwierza".

Tropicielem jest Anton, rybak wychowany w puszczy nad jeziorem. Zdolności odkrywania tajników przyrody instynktem, wzrokiem, słuchem i przebiegłością, przekazane mu były z pokolenia na pokolenie. Przed uwagą takiego nic się nie ukryje.

Jak mnie ledwie dosłyszalnie objaśniono, nikłe męty w wodzie wskazują, którędy ścigana sztuka uchodzi.

Tędy dążymy, jednocześnie upatrując uważnie, czy nie widać gdzie zbiega.

I nagle ruch tajemniczy kierownika pościgu, po którym łódź zwalnia, i zaledwie posuwamy się cichutko. Po chwili znowu pośpiesznie płyniemy, okrążając drugą kępę wodnych zieleni.

Okazało się, że szczupak stał przed nami przez chwilę, wielki, jak czarna kłoda, lecz nie dotrzymał i ruszył zawcześnie, ukrywając się ponownie.

Z zapałem i uporczywością okrążamy 2 razy w ósemkę sąsiadujące z sobą, zielone kręgi wodorostów.

I w końcu ponowny sygnał i znowu łódź nieznacznie tylko posuwa się naprzód.

Cisza tajemnicza, ogień lekko trzeszczy, choć dobrze świeci, umiejętnie, zawczasu, na dłuższą operację przygotowany. Mistrz sięga nogą najdalej na krawędź łodzi, ość wysuwa przed siebie, trzyma ją już za sam koniec tyczki. Nachylony do przodu, przygotowuje się do ataku. Boję się, że wpadnie do wody, a przewiduję jakiś ruch nagły, który i nam grozi wywróceniem.

Jakoteż, kiedy łódź prawie że się zatrzymała, nastąpiło pchnięcie, tak gwałtowne i silne, że zakołysaliśmy się, aż do zaczerpnięcia wody.

Łódka, jakby pchnięta w tył niewidzialną siłą, cofnęła się szybko i Anton tyłem kroczy szeroko do nas, chwytając równowagę.

Ości niema już w rękach, widać, jak drzewce jej świeci biało w blasku ognia, stercząc skośnie trochę nad wodą.

Anton chwyta podaną mu, zapasową bliźniaczkę poprzedniej, w czasie czego łódka zwraca już szybko i śmiało, bliżej do tkwiącej w wodzie tyczki, której koniec lekko porusza się w górze.

Wtedy Anton drugą ość pakuje silnie, obok poprzedniej i znowu cofamy się, odepchnięci od pozostawionych, równolegle z sobą jaśniejących tyczek. Ale zaraz wracamy do nich i Anton, biorąc rękami za obydwie jednocześnie, nachyla się nad niemi, dusząc je głębiej do dna.

Potem, przegiąwszy oba drążki przez kant łodzi, przygniata je do dołu, wtedy nad powierzchnię wody wydobywa się czarny kadłub, podłużnowaty, iłem oblepiony, na ostre końce obu dzid nadziany.

Anton parokrotnie ruszał ościami w dół, to w górę w celu opłukania kolosa z pokrywającego go mułu.

W takt ruchów huśtaliśmy się wraz z łodzią. Po każdem zanurzeniu w wodę, ukazywał się nad nią miarowo, co raz czyściejszy i foremniejszy kształt ryby, srebrzystego koloru, ociekający z czarnej warstwy pokrycia.

Kiedy dość było tej kąpieli, Anton przyciąga zdobycz do łodzi, a wtedy coraz wyraźniej błyszczy pozłacana światłem, lśniąca, mokra jeszcze ryba.

Widać, jak zaraz za skrzelami tkwi pionowo, to jest w poprzek ryby, szereg kolców jednej ości i obok równolegle drugiej wbite celnie już „na pamięć", jak objaśniał zziajany i podniecony, udatnie dokonanym czynem, Anton.

Obydwa zatem żelaza tkwiły dobrze, umieszczone „na komorze". Z miejsc ukłuć sączyła się czerwona ciecz. Ogon wykonywał wahadłowe ruchy, w naszą stronę, to od nas.

Szczupak żył jeszcze i uważano za potrzebne dobić go, uderzając parę razy silnie w duży łeb kawałem drzewa.

Przekonawszy się, że nie ma już siły, aby sprężystym ruchem wyskoczyć do wody, wyciągnięto z niego zazębione żelaza i ułożono na dnie łodzi.

Uważałem po obecnych, że scena podobna nie często się przytrafia, i wszyscy, a szczególniej Anton, czuli się, jak po dokonaniu wielkiego dzieła.

Cieszyło mnie, że to niezwykłe spotkanie odbyło się w mojej obecności, gdyż inaczej, byłbym tylko świadkiem zwykłego kłucia i wydobywania średniej wielkości rybek, bez większej emocji, która w tym wypadku i mnie się udzieliła.

Na tem zakończone zostało ciche, tajemnicze pływanie, wiele mające w sobie uroku, jako spacer nocny, wśród zapachu wiosny, lasu i wody.

Teraz rozmawialiśmy już swobodnie i głośno, dzieląc się doznanemi wrażeniami.

Każdy opowiadał, jak i kiedy spostrzegł szczupaka, co zrobić trzeba było aby uniknąć błędów, które pomimo wszystko, podobno były, choć tak nieznaczne, że nie umiałem poznać się na nich. W każdym razie odniosłem wrażenie, że wszyscy działali sprawnie i mądrze, a najwymowniejszem potwierdzeniem tego był rezultat widoczny.

Szczupaka, wraz z paroma rybami, więcej wartościowemi, zabraliśmy z sobą, głównie z myślą o potrawie dla mnie, gdyż pan W. ryb nie jada, poluje zaś tylko z ościa z amatorstwa.

Resztę połowu rozdzielono między współuczestników wyprawy.

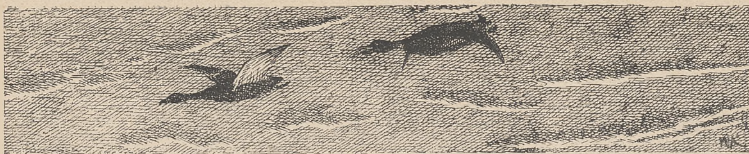
Siwkę odprowadzono od siana, które przez cały czas chrupała, nie interesując się wydarzeniami nocy. Wózek wykręcono na równą drogę i żegnając jezioro, znowu pogrążyliśmy się w ciemności lasu, wracając do domu.

Różnica w drodze była taka, że tam, gdzie zwalnialiśmy, jadąc tutaj, teraz wózek szybciej toczył się i odwrotnie.

W domu, stwierdziwszy najpierw, że mało pomylili się znawcy, gdyż szczupak ważył 19 funtów, zamiast 20-u, jak przypuszczano, — poszliśmy spać.

Zmęczony i upojony aromatem puszczy, zasnąłem, marząc o zapowiedzianych głuszcach.

STANISŁAW LESKI.



POLOWANIE NA KACZKI.

(ZE WSPOMNIEŃ MŁODEGO MYŚLIWEGO).

— Janek, jedziesz, czy nie?

— Czyś ty zwarjował? Bo ja to jeszcze nie, przecież chyba masz oczy i widzisz, że leje jak z cebra. No ale jedź, nie pożałujesz, zobaczysz, kaczek będzie mnóstwo. Pojedzie jeszcze Rogalski, to będzie weselej.

W ten sposób Zdzich namawiał jak mógł Janka, gdyż sam jako zawołany myśliwy, miał wielką ochotę zapolować, pomimo paskudnej pogody na dworze. Janek nie był dobrym strzelcem, a tylko dzięki przyjaźni ze Zdzichem, stawiał pierwsze kroki myśliwskie. Włóczyli się całymi dniami po różnych wertepach i błotach, gdzie sam djabeł chyba nie miałby wielkiej ochoty chodzić.

Do kompanji należał jeszcze p. Rogalski, którego nazywano „Rogalem" (strzelec dobry, strzela głośno). To też i teraz gdy niby się nieco rozjaśniło (ale chyba w głowach, bo na dworze to nie) cała trójka postanowiła wybrać się do sąsiednich stawów na kaczki. Jako środek lokomocji posłużyły nam rowery. Droga wspaniała, 8 km. przez las, po piachu do kolan. Ale cóż to wszystko znaczy dla młodych, pełnych sił i życia myśliwych.

Obładowani plecakami i różnymi przyborami potrzebnymi do takiej wyprawy, wyruszyliśmy po południu, gdyż powzięliśmy zamiar być na wieczorowych zlotach i na drugi dzień polować jeszcze rano. Jako asysta, towarzyszyły nam dwa pointry czystej krwi (rasę poznaje się podobno po długim i zakręcanym ogonie). Droga do folwarku odbyła się dosyć szczęśliwie, bez nadzwyczajnego wydarzenia. Jedynie „Rogal" jadąc na przedzie, a chcąc zobaczyć, czy reszta jedzie za nim, obejrzał się no i... wysypał do rowu. Całe szczęście, że skończyło się na małem tylko potłuczeniu.

Po pewnym czasie na dworze wypogodziło się i słońce wyglądając z poza chmur, zaczęło dogrzewać porządnie. Wszystkim zrobiło się też cieplej i weselej na sercu i w dobrych humorach dojechaliśmy na miejsce. Zaraz też zaczęło się wkładanie na siebie specjalnych kostjumów, przeznaczonych na chodzenie po wodzie. — Panie Rogalski, skąd pan masz takie wspaniałe pończochy? — A to żona mi je ofiarowała, podobno jeszcze tańczyła w nich na swojem weselu.

Doskonale też pasowały mu do tych „ażurów", lakiery, z których dyskretnie uśmiechał się palec (widocznie to jego ślubne jeszcze). Opiąwszy się szpilkami, sznurkami i rzemykami, włazimy do wody (wcale ciepła). Zaczynamy bobrować po stawach, kacze jak stodoły rwą się na wszystkie strony, każdy wali ile się da, daleko czy blisko, wszystko jedno, byleby był huk. Najgorzej wychodził Janek, gdyż będąc niski, nic nie widział, co się dzieje z pośród wody i traw, które go całkiem zakrywały. „Rogal" klął i ciągle krzyczał: „no, wal pan do djabła, o, leci nad głową, no..." — To wal pan sam, kiedyś taki mądry, i tak już napsułeś pan prochu, a rezultat słaby, — odcinał się Janek. Rzeczywiście punek, gdyż będąc niskim, nic nie widział, co się dzieje dy (wcale ciepła (?). Zaczynamy bobrować po stadłował ciągle. Zrywa mu się kacza, jak indor, on bęc, bęc, — pudło jedno i drugie.

— Ażeby cię pioruny, — klnie na wszystkie strony. To widzicie panowie, moja flinta bije za gęsto, na zająca zato lepsza.

— No ale do stodoły to chyba trafiłbyś pan, żartujemy z niego. — Słońce zaczęło już opadać zwolna za wierzchołki pobliskich drzew, gdy trochę odpocząwszy, weszliśmy jeszcze do wody, oczekując zlotów, ale kaczek jakoś nie było. Było już dobrze ciemno, gdy zaczęliśmy wyłazić.

— A gdzie to się podział nasz „Rogalino"? — Panie Rogalsiu!

— Co takiego? — Gdzieś pan jest? — A tu siedzę w krzaku i czekam, może co jeszcze przeleci. — Możesz pan siedzieć do rana, to może się co zjawi, ale chyba prędzej utnie pana pijawka, aniżeli zobaczysz pan kaczkę. — Chodź pan spać.

Nocleg mieliśmy bajeczny, we wspaniałem towarzystwie... kur i kaczek.

Ulokowawszy się w pachnącem sianie, zabrała się nasza trójka do kolacji, gdyż każdemu żołądki się wymoczyły i skurczyły, więc grały marsza. — Wiecie co panowie, ja myślę, że najpierw zjemy po jajeczku na miękko, na czczy żołądek, będzie najstrawniej — projektował stary żarłok Rogalski.

— Wszystko jedno, dawaj pan cokolwiek, byle prędzej. — O psiakrew! — krzyknął nasz Rogalsio, wszystkie jaja mi się pobiły, to widocznie w tym przeklętym rowie. Całe szczęście, że są jeszcze kiełbaski i kurczaki. Nie wybierając już, jedli wszyscy, aż się uszy trzęsły, i coraz to wzmacniając się „po jednym".

Była chyba już północ, gdy Morfeusz skleił wszystkim powieki po tej libacji, chrapanie rozlegało się dookoła, a tylko Mars (mój wyżeł) ciągle polował na kury i kaczki, spokojnie śpiące na grzędach. Rano zamiast wstać o wschodzie słońca, ledwie zwlekliśmy się koło południa. Pogoda dopisywała, więc ruszyliśmy na stawy. Kaczek było dosyć dużo, tylko że popłoszone, porozlatywały się po wszystkich stawach i trzeba było dużo poświęcać drogi i czasu. To też zamiast powrócić do domu na obiad, siedzieliśmy do wieczora. Dopiero koło godz. 8 w. obładowani kaczkami (których nabiliśmy sporo) udaliśmy się w powrotną podróż. Ale trzeba było rzeczywiście takich tylko warjatów, jak my, aby po ciemku, nie widząc drogi, wracać przez las na rowerach.

Nie ujechaliśmy pół kilometra, gdy naraz słyszę przed sobą plusk (było już ciemno, że choć w pysk wal). To „Rogal" widząc przed sobą coś jasnego, a sądząc, że to piasek, wywalił się w kałużę z wodą (nadprogramowa kąpiel po polowaniu). Ale to dopiero początek. Jedziemy dalej. Co krok któryś z nas leży w krzaku jałowca i klnie na czem świat stoi (udaje, że odpoczywa).

— O, teraz lepsza droga, woła Janek, nabierając „gazu", lecz nie zobaczył przed sobą rowu. I naraz

słyszymy przed sobą trzask, stuk i...cisza. Co się stało? Podjeżdżamy, świecimy zapałki i oto co widać. Za rowem leży Janek, trzymając się za głowiznę, w rowie spoczywa najspokojniej rower (cud że cały) a obok w piachu flinta, która biedaka tak w łeb palnęła, że długo nosił pamiątkę. Ile razy każdy leżał czyto w krzaku, czy rowie, doprawdy trudnoby zliczyć. Wiem tylko, że przy końcu naszej podróży, nadźgałem się na druty kolczaste, jak zając na rożen. Najbardziej ucierpiała moja garderoba, gdyż ze spodni (całe szczęście, że nie nowe) pozostały formalnie tylko strzępy. Już myśleliśmy, że skończą się nasze przygody, gdy w samem prawie mieście „Rogal" wpakował się w skrzynię pełną piasku i wapna. Wreszcie koło godz. 11 wyjechaliśmy z tej pamiętnej na długi czas drogi. Wjeżdżamy do miasta. Po drodze pełnej piachu i wyboi, „kocie łby" bruku miejskiego wydają się nam jako najwspanialsza szosa asfaltowa. Jak każdy z nas wyglądał, to doprawdy nie da się wporst opisać, mogą sobie jedynie Szanowni Czytelnicy wyobrazić trzech warjatów obłoconych w glinie, wapnie, spoconych i zziajanych, którym zachciało się polowania na kaczki. A jednak to jest przyjemnie!

Z. WÓYCICKI.

Z POLOWAŃ NA PARDWY.

Pardwa w województwach wschodnich nie jest zwierzyną, którą by można, zdawało się, zaliczyć do unikatów łowieckich.

Trzeba tylko znać dobrze rozległe tereny błot i śledzić jej koczowniczy tryb życia.

Spostrzeżenia dwu ostatnich lat pozwalają mi twierdzić, że pardwa ma swoje ulubione miejsce, ale często je potrafi zmieniać. Polując w powiecie Dziśnieńskim województwa wileńskiego w roku zeszłym, brnąłem po pas w białej powłoce mchów, wśród karłowatych sosenek i tu po mozolnem łażeniu natrafiało się wreszcie na stado złocisto-białych pardw. W roku bieżącym jest zupełnie inaczej. Poluję na cietrzewie w okolicy jeziora Narocz, wrzosy, małe kępiny z jagodami żurawin i borówek, — piękny seter - gordon zaczyna prowadzić; po chwili martwa stójka, kępiny porosłe trawą pozwalają rościć nadzieje na stado cietrzewi, lub na czarnego liniaka. Wreszcie podrywa się stado tuż z pod nóg — gorączkowe padają strzały, kilka sztuk z łopotem upadło i jakby czekało na czarny psi wyrok. Ale tu myśliwi wbrew wszystkim zasadom, biegną sami, z radosnym okrzykiem: pardwy! Już są tak wielkie, jak stare; skrzydła zaczynają bieleć, ptak dobrze już opierzony, czyżby zwiastun prędkich chłodów?

Na tym terenie tegoż dnia znajduję jeszcze dwa olbrzymie stada pardw.

Następnego dnia poluję o 20 kilometrów na terenie bardziej suchym i tu spotykam dwa stada pardw. Cietrzewie już są w gęstych zaroślach, co utrudnia polowanie. Pardwy, zdawać by się mogło, zajęły ich miejsce i w licznem gronie reprezentują swój szlachetny ród ptasi.

Ten pomyślny stan pardw w roku bieżącym pozwala przypuszczać, że się ich ilość wzmoże. Strzelaliśmy do stada, tylko raz przy pierwszem spłoszeniu, potem obchodzimy teren i szukamy dalej. Nawet tu stary wyga gajowy jest dla tej zwierzyny z respektem, mówiąc:

„Niechaj ich bude bolsze, warszawskije pany pryjedut".

S. P.

Co zrobić i jak zapewnić stosowny żer, aby powstrzymać dziki od wychodzenia z lasu na pola w szkodę, jak również, aby zapewnić im pożywienie w lesie, w porze zimowej?

(Artykuł ś. p. Rożyńskiego, pozostały w tece redakcyjnej).

Powstrzymywanie dzików od wychodzenia w pole, jest rzeczą niezmiernie trudną, albowiem, jak to wiadomo, zwierz ten jest bardzo ostrożny i wskutek tego zmienia często miejsca swych ostoi, przy tej sposobności zwiedzając przyległe pola, skąd przeważnie nie wraca do poprzedniej kwatery, lecz zalega w innem miejscu, odległem niekiedy o parę lub nawet kilka kilometrów, zależnie od rozległości lasów. A jeśli kompleks lasów jest niewielki, przenosi się, nawet przez szerokie pola, do innych kniei, skąd po kilku lub kilkunastu dniach powraca, zrobiwszy po drodze znów mniejsze lub większe szkody w ziemiopłodach rolnych. Takie dalsze podróże odbywają przeważnie odyńce, gdy lochy z warchlakami trzymają się więcej w pobliżu miejsca lęgowego. Zdarza się też nie rzadko, że dziki nie wracają do lasu z nocnego żerowiska w polach, lecz zalegają tam na dzień, w obszernych i wysokich łanach zbóż.

Jako środka odstraszającego od pól, używano dawniej odpowiednio spreparowanych hub (grzyby) z drzew, w ten sposób, że gajowi obchodzili pod wieczór swoje rewiry po granicy pól i co kilkadziesiąt kroków, na drożynach lub rowach granicznych, w miejscach oczyszczonych z materjałów palnych, zakładali zatlone kawałki huby. Zwierzyna gruba, zbliżywszy się do pola i zawietrzywszy zapach dymu, zawraca z powrotem w głąb lasu, aby w innych miejscach próbować wydostania się w pola.

Hubę do tego celu przygotowuje się w ten sposób, że po jej zebraniu z drzew i rozkrajaniu na mniejsze części, wygotowuje się dokładnie, kilkakrotnie zmieniając wodę, poczem wysusza się starannie w ciepłych piecach chlebowych tak, aby w nich nie pozostało wilgoci, a temsamem łatwo, lecz wolno się tliły.

Ten sposób odstręczania zwierzyny od pól jest jednak uciążliwy, wymaga bowiem bardzo dużo huby, o którą obecnie trudniej — a pozatem w czasie wieczorów i nocy słotnych, huby gasną i nie sprawiają pożądanego efektu.

Pozatem odciągać i do pewnego stopnia odzwyczajać dziki od wychodzenia w pola, można jedynie przez intensywne obsiewy pólek wśród lasów — odpowiednimi ziemiopłodami, co zresztą jest niezbędne także i wówczas, gdy się dziki odpłasza od pól za pomocą dymu.

Oprócz bulwy, którą na odpowiednio uprawionych ziemiach starać się trzeba zaprowadzać na

jaknajliczniejszych, choćby małych kawałkach ziemi—w różnych punktach wśród lasów, z której łodyg korzystać będą sarny i zające ew. jelenie, a kłęby wykopywać dziki, — zalecenia godny jest bardzo wczesny siew mieszanek składających się z owsa, wyk i grochu polnego, by służyły jako pasza na zielono. Dziki szczególnie lubią zielone łodygi grochu. Mieszanka taka, wysiana możliwie jaknajwcześniej, daje już w końcu maja i w czerwcu wyborowy żer dla dzików.

Pozatem wskazane jest sadzenie w różnych miejscach choćby po kilka redlin wczesnych ziemniaków (rychlików). W ten sposób po załatwieniu się z mieszanką, miałyby dziki do dyspozycji wcześnie dojrzewające ziemniaki, co, do pewnego stopnia powstrzymywałyby je od wycieczek w pola, to bowiem, czego tam szukają, miałyby na miejscu w lesie.

Do czasu wzejścia grochu i wyrośnięcia ziemniaków wskazane jest otoczenie poletek zwyczajnym drutem na 70 ctm., wysoko nad ziemią i na tym drucie co parę metrów pozawieszać różnokolorowe szmatki, rodzaj wstążek, jak przy fladrach, tak długich, by sięgały do ziemi. Będzie to powstrzymywało dziki od zawczesnej inwazji na pólka, by tam wyjadać świeżo posiany groch i posadzone ziemniaki. Trzeba jednak i na to być przygotowanym, że przeszkody takie nie wszystkie dziki w równej mierze respektują.

Znacznie gorzej przedstawia się sprawa zapewnienia dzikom żeru w porze zimowej.

Właściciele ziemscy, posiadający w pobliżu lasów gospodarstwa rolne, mają różne ziemiopłody, które mogą wywozić do lasu na karmę, jak drobne ziemniaki, brukiew, buraki, marchew, snopki niemłóconego grochu, gryki, owsa i t. p. Natomiast o wiele gorzej przedstawia się sprawa dla dzierżawców polowań, nieposiadających do dyspozycji tego rodzaju ziemiopłodów.

Tu, wobec konieczności liczenia się z wysokimi kosztami, zimowe podkarmianie służyć musi przeważnie tylko jako przynęta, by dziki zupełnie nie wyemigrowały z łowiska. Aby tego dopiąć, trzeba nabyć pewną ilość nasienia buczyny, żołędzi i kasztanowca — a przynajmniej dwóch ostatnich gatunków, dla wysiania ich w późnej jesieni (koniec listopada lub początek grudnia) — na obranych do tego celu pólkach, w różnych punktach lasu.

Siew dokonywa się w bruzdy wyorane pługiem w ten sposób, że na dno bruzdy (redlonki) wrzuca się, w odstępach co 40 do 60 ctm., po parę lub kilka tych nasion, zależnie od zapasu, poczem następnemi paru, płytkiemi skibkami przykrywa się nasiona. Następnie w otwartą bruzdę wysiewa się i przykrywa pługiem jak wyżej, tak, że siew wypadnie zawsze w każdą trzecią bruzdę.

Jeżeli mamy do dyspozycji buczynę, żołędź i kasztanowiec, w takim razie wysiewać każdy gatunek w osobne bruzdy, a gdy mamy tylko żołędź i kasztanowiec, siać należy naprzemian po jednej bruzdzie.

Dziki wyszukiwać będą najpierw buczynę, potem żołądź, a w końcu dopiero kasztanowiec, — a węch mają tak znakomity, że nie pozostawią żadnego zdrowego ziarna.

Oczywiście, że ten oszczędny sposób założenia zimowej karmy ma na celu nie tyle nakarmienie, ile zabawianie dzików w łowisku. Kilkunastu centnarami tych dziczych smakołyków można obsiać znaczne powierzchnie pólek i zmuszać je do pracowitego ich wyszukiwania.

Pólka te mogą być na wiosnę zużyte do obsiewu ziemiopłodami rolnymi.

Na Kresach Wschodnich i północnych, bardzo się nadają na takie pólka tak zw. „niwki" chłopskie, położone wśród lasów, które nie trudno od nich wydzierżawić.

F. ROŻYŃSKI.

KORESPONDENCJA „ŁOWCA POLSKIEGO"

Z Sochaczewskiego.

Powiat nasz Sochaczewski, będąc terenem, na którym rozgrywała się do wzięcia Warszawy przez niemców w 1915 r. walka pozycyjna w pierwsze lata wojenne, stracił bardzo na zwierzostanie, który jednak w latach okupacji doszedł do największej wydajności, dzięki surowemu przestrzeganiu przez okupantów prawa o pozwoleniach na posiadanie broni. Następne lata po wyjściu niemców, kiedy każdy polował, „kto w Boga wierzy", zwierzostan spadł do niebywałej granicy, i dziś dzięki nowej ustawie łowieckiej można było na szczęście postawić ten konieczny wniosek, aby na przeciąg lat 5-ciu polowanie na zające rozpoczynać dopiero od 15-go listopada. Kłusownictwo bardzo rozwinięte zaczyna być energicznie tępione dzięki energji referenta wydziału, p. Kowalskiego, który sam będąc myśliwym, rozumie, czem jest hodowla zwierzyny. Od N. Roku do 1 lipca odebrano broni i ukarano za jej nielegalne posiadanie lub kłusownictwo 31 przyłapanych — na ogólną sumę 4.070 zł. i 55 dni aresztu.

W tem największą działalność okazał posterunek policyjny gminy Tułowiec, za co zarząd miejscowego kółka łowieckiego uchwalił ze swoich szczupłych funduszów pewną kwotę dla policji tamtejszej, jako nagrody, — jeśli tak dalej pójdzie, to możemy się spodziewać wybitnego poprawienia zwierzostanu, do czego przyczyniać się będzie też zapoczątkowanie drenowania — w naszym powiecie rzeczy tak ważnej, zwłaszcza w porze lęgu kuropatw i zajęcy.

WITOLD GRZYBOWSKI.
Delegat łowiecki
na powiat Sochaczewski.

Z Centr. Zw. Pol. Stow. Łow.

DELEGACI POWIATOWI.

W dalszym ciągu zgłoszono następujące kandydatury na delegatów powiatowych:

Antoni Kempiński, adwokat, Wołomin, Warszawska 15, na pow. Radzymin,

Aleksander Mocz, Sprawa, p. Szczekociny na pow. Włoszczowa,

Dr. Zygmunt Czarnocki, Słupca, na pow. Słupca,

Edmund Skarzyński, Rybienko, p. Wyszków, na pow. Pułtusk,

Mieczysław Woycicki, pprok. S. Ap., Warszawa, Wspólna 40, na m. st. Warszawa,

Kazimierz Szulisławski, nadl. Swit., p. Tuchola, na pow. Tuchola.

Lista ogłoszona drugi raz.

O OCHRONĘ ZWIERZYNY.

(Odezwa).

Wydział Wykonawczy Centr. Związku Polsk. Stow. Łow. rozesłał do gazet odezwę następującej treści:

„Pomimo tego, że dwa już lata bezmała obowiązuje ustawa o prawie łowieckiem z dnia 3.12. 1927, ustalająca terminy ochronne na zwierzynę łowną (art. 49); pomimo tego, że wydawane są przez Ministerjum Rolnictwa i władze wojewódzkie — odnośne zarządzenia, w handlu spotyka się zwierzynę łowną w czasie ochronnym.

Ustawa weszła w życie tylko w stosunku do prawidłowych myśliwych, kłusownicy bowiem i wynkarze wcale się do niej nie stosują. Jest to objaw bynajmniej nie dodatni.

Prawo łowieckie przewiduje dość wysokie kary za tego rodzaju przestępstwa, nakazuje nawet organom

wykonawczym nakładanie kar administracyjnych za kłusownictwo i wnykarstwo.

Niewątpliwie skutek byłby bardziej widoczny, gdyby właściciele restauracyj, kupcy i handlarze zwierzyną szli na rękę władzom bezpieczeństwa w tym względzie i nie nabywali zwierzyny z rąk kłusowników i w czasie ochronnym.

Niestety, odczuć się daje brak zrozumienia doniosłości znaczenia czasów ochronnych dla łowiectwa, a tem samem dla gospodarstwa krajowego, którego ważką część stanowi łowiectwo racjonalnie ujęte. Nie odgrywa snadź roli i obawa kar za nielegalny handel zwierzyną, skoro w oknach wystawowych sklepów, nawet pierwszorzędnych, których firm narazie nie wymieniamy, a także w jadłospisach pierwszorzędnych restauracyj można zobaczyć np. w końcu czerwca dzikie kaczki, albo w sierpniu kuropatwy, jak to stwierdzono przed kilku dniami, chociaż w roku bieżącym czas ochronny na kuropatwy przedłużono do późniejszego czasu.

Apelujemy tą drogą do właścicieli restauracyj i sklepów kolonjalnych, aby zechcieli w przyszłości baczyć na terminy ochronne, określone ustawą o prawie łowieckiem z dnia 3 grudnia 1927 roku, aby nie nabywali zwierzyny, bitej nielegalnie w czasie zakazanym, aby wreszcie nielegalnych handlarzy oddawali w ręce władz".

ODSTĄPIENIE ODSTRZAŁU.

Dyrekcja lasów państwowych w Bydgoszczy ogłosiła co następuje:

„W bieżącym sezonie myśliwskim Dyr. zarezerwowała dla osób należących do towarzystw łowieckich i postronnych, odstrzał 14 jeleni-byków, 6 danieli-łopataczy i 32 rogaczy w poniżej podanych Nadleśnictwach:

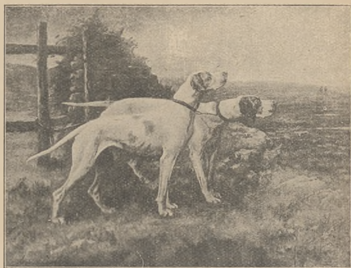
Chociński młyn 2 jelenie.
Giełdon 1 jel., 1 rogacz.
Gołąbek 1 jel., 2 rog.
Grabowno 1 jel.
Laska 1 jel., 1 rogacz.
Lutówko 1 daniel, 3 rogacze.
Nakło 1 jel., 2 rogacze.
Osiek 1 jeleń, 1 rogacz.
Przewodnik 1 daniel, 3 rogacze.
Różanna 3 rogacze.
Runowo 1 jel., 3 daniele.
Solec 1 jeleń.
Stronno 1 jel., 3 rogacze.
Warlubie 1 daniel, 5 rogaczy.
Wierzchlas 2 jel.
Woziwoda 3 rogacze.
Zamrzenica 5 rogaczy.
Żołędowo 1 jeleń.
Razem 14 jeleni, 6 danieli, 32 rogacze.

Za prawo odstrzału łącznie z pobraniem wieńców, wzgl. parostków pobiera Dyrekcja od jeleni powyżej 10-taka — 1000 zł., za chybiony strzał 50 zł., od jelenia do 10-taka — 500 zł., za chybiony strzał 50 zł., od łopatacza — 250 zł., za chybiony strzał 40 zł., rogacza — 50 zł., za chybiony strzał 25 zł., — do tego dolicza się strzałowe od jelenia — 5 zł., od daniela — 3 zł., od rogacza 1.50 zł.

Osoby, chcące zabrać ubitą zwierzynę, płacą odpowiednią taksę obowiązującą w nadleśnictwach.

Odstrzał może być dokonany tylko w obecności personelu danego nadleśnictwa.

Koszty związane z odstrzałem, np. najem furmanki na podjazdy, dojazdu do rewiru, poszukiwania postrzałków — ponosi myśliwy.



JESIENNE PRÓBY POLOWE WYŻŁÓW.

Towarzystwo Hodowli Psów Myśliwskich zwyczajem dorocznym urządza próby polowe wyżłów wszelkich ras, zapisanych lub mających prawo być zapisanemi do ksiąg rodowych, **w dniu 15, ewentualnie i 16 września r. b.** na polach dóbr Wilanów. Próby będą się odbywać według regulaminu Towarzystwa (ogłoszonego w Nr. Nr. 16 i 17 „Łowca Polskiego" z 1928 r.).

Nagrody będą udzielane w postaci dyplomów Towarzystwa I, II i III stopnia.

Do jury zostali zaproszeni pp. Stolarow, Bielawski, Obniski, Morzkowski i Prichodko.

Zgłoszenia należy kierować do Sekretarjatu Centr. Związku Polskich Stow. Łowieckich (Warszawa, Nowy Świat 35, lokal Polskiego Tow. Łowieckiego). Tam również, w godz. między 5 i 7-ą wieczorem, można otrzymywać wszelkie informacje i blankiety. Zgłoszenia przyjmowane będą do ostatniej chwili, również na miejscu, w dniu prób, przed ich rozpoczęciem.

Wyjazd z Warszawy w dniu 15 września pociągami kolejki Wilanowskiej lub samochodami.

Początek prób punktualnie o godz. 8 rano.

Osoby niebędące członkami Towarzystwa H. P. M., opłacają na jego rzecz dwa złote, przyczem otrzymają specjalną rozetkę.

Z OSTATNIEJ CHWILI.

Pan Minister Rolnictwa raczył objąć protektorat nad powyższemi próbami polowemi.

Redakcja nie zwraca nadesłanych rękopisów i zastrzega sobie swobodę czynienia w nich poprawek i skrótów.
Redakcja nie odpowiada na zapytania, kiedy będzie drukowany artykuł, gdyż zależy to od całokształtu numeru i od posiadanego przez Redakcję materjału.

Redaktorzy: Julian Ejsmond i Walenty Włodzimierz Garczyński. Wydawca: Centr. Związek Polsk. Stow. Łowieckich.

BIULETYN INSTYTUTU ŁOWIECTWA

Rok I. Warszawa, Wrzesień 1929 r. Nr. 2.



HODOWLA ZWIERZĄT DZIKICH O FUTRZE SZLACHETNEM.

HODOWLA SZOPÓW.

Niezwykle ciekawą i dochodową jest hodowla szopów. Nadto hodowla ta jest jedną z najłatwiejszych. Fr. Lamberts, jeden z większych hodowców tych zwierząt twierdzi, iż szopy, według jego spostrzeżeń, rozmnażają się pomyślnie, będąc chowane w zagrodach osiatkowanych, wielkości zaledwie 2x2 metry i 180 cm. wysokich. Pozatem wielu hodowców jest tego zdania, iż szopy można kompletnie udomowić, podobnie jak to ma miejsce z kotami lub psami. Istotnie, szopy oswajają się bardzo łatwo, a dzięki swemu figlarnemu usposobieniu są niezwykle miłe, przypominając małe niedźwiadki. Do niedawna szopami interesowano się mało, ostatnio wszkaże w Kanadzie jest już 70 farm, hodujących te zwierzęta, w Niemczech niedawno powstało 9 takich zakładów, które rozwijają się pomyślnie. Jest faktem, iż szopy rozmnażają się w niewoli, są zdrowe i bardzo żywotne. Żyją do lat 20 i bardzo rzadko chorują.

Szop (Procyon lotor) zowie się w Ameryce „Racoon", we Francji — „Marmotte", w Niemczech — „Waschbar i należy do grupy zwierząt niedźwiedziowatych, tworząc w niej oddzielną rodzinę — Procyoninae. Zwierzątko to dosięga około pół metra długości, nie licząc puszystego ogona, którego długość równa się około 25 cm. Tułów ma krępy, głowę szeroką, pyszczek krótki, śpiczasty, oczy duże, uszki stojące, zaokrąglone, nogi dość długie, ogon długi. Futerko ma gęste szarobrunatnej maści z domieszką czarnego, na ogonie pierścienie czarnej sierści, koniec ogona czarny. W hodowli poszukuje się przeważnie okazy o ciemnem futerku, do ciemno czekoladowo-bronzowej maści włącznie, albo niebiesko-srebrzyste. Szopy o futerku żółtawem lub brunatno-szarem są niepożądane. Pozatem istnieją szopy czarne i białe (albinosy). Włos szopa winien wynosić od 6 — 8 cm. długości.

Według metod amerykańskich szopy chowają trójkami (trio) t. j. przeznaczają jednego samca dla dwóch samic. Urządzają zatem zagrody w ten sposób, aby zagroda samca była pośrodku, a po obu stronach tejże zagrody samic, które są połączone z zagrodą samca za pomocą tunelii, które można dowolnie zasuwać lub. otwierać za pomocą drewnianej zasuwy. Zagród zbyt małych wszakże budować nie należy, przynajmniej tego nie czynią w Ameryce. Najczęściej spotykane rozmiary są 4x5 metrów, 3 i pół na 6 m. wysokość zaś około 2 metr. W Prusach Wschodnich w Allenstein rozmiary zagród są: 6 metr. długości, 2 metr. wysokości i 2 metry szerokości. Na farmie we Freudenthal koło Oliwy — 4 metry długości, 2 mtr. wysokości i 2 metr. szerokości. W ostatnich czasach najczęściej zagrody robią z ram drewnianych, osiatkowanych ze wszystkich stron nawet i z dołu, przyczem cała zagroda (woljera) stoi na nóżkach wzniesiona na 25 — 30 cm. nad ziemią, w tym wypadku łatwo zachować czystość. Domek wykotowy — właściwie schronisko szopów w tych wypadkach buduje się nazewnątrz zagrody i łączy z zagrodą za pomocą tunelu zbitego z desek 25x25 cm. Domki wykotowe bywają również różnych rozmiarów. Przeważnie domek wykotowy ma 120 cm. dług. 60 cm. szer. i 60 cm. wysok. Wewnątrz domek rozdziela się deskami na dwie połowy; w jednej jego połowie buduje się gniazdo wykotowe 50 cm. dług., 42 cm. szerokie i 34 cm. wysokie. Zarówno domek wykotowy, jak i gniazdo wykotowe zbija się szczelnie z desek dobrze dopasowanych. Między ścianami domku i ścianami gniazda wykotowego nakłada się torf dla ciepła. Do gniazda wykotowego (ocieplonego) prowadzi otwór 25x25 cm., przez który właz zwierzątko z przedziału chłodnego. Tunel z zagrody prowadzi do przedziału chłodnego. Dach domku robi się na zawiasach, aby go można było podnieść, gdy chcemy zrobić wewnątrz porządek.



Wierzch gniazda wykotowego zakrywa się szczelnie pokrywą, którą niektórzy robią z grubego szkła, aby po podniesieniu dachu obserwować, co się dzieje w gnieździe. Muszę tu wszakże zaznaczyć, iż zbytnia ciekawość jest największą przeszkodą w hodowli zwierząt tego rodzaju, gdyż wprowadza w ich bytowanie stały niepokój. W zagrodzie trzeba urządzić półki z desek do biegania, ustawić rodzaj stoliczka, gdzie się daje wodę i karmę, a nie zaszkodzi postawić rozgałęziony pień, aby urozmaicić życie szopom, gdyż zwierzątka te bardzo lubią łazić po drzewach.

Szopy należą do zwierząt wszystkożernych. Zasadniczą karmą jest kukurydza, którą w okresie dojrze-

wania i przedtem można dawać w stanie surowym, w innym zaś czasie — gotowaną, czy to w postaci śruty, czy zmieloną na mąkę, przytem nadaje się wówczas do gotowania krupniku na odpadkach mięsnych, ryż, płatki owsiane również mogą być używane z dobrym skutkiem (jęczmienną śrutę źle trawią, zarówno ziemniaki; pozatem jedzą wszelkie jarzyny surowe i gotowane, owoce, niezmiernie lubią słodycze, a więc słodkie owoce i jagody, cukier, specjalny smakołyk to — orzeszki ziemne (chińskie orzeszki). Rybki świeże można dawać surowe, bite ptaszki, ślimaki, chrabąszcze, pędraki — wszystko to z apetytem szopy zjadają. W okresie karmienia przez samicę swych młodych należy codziennie dawać jej jajko surowe lub rozbite w mleku. Do zupy czy też krupnika ugotowanego na odpadkach mięsnych, należy wrzucać suszone plasterki jabłek. Wogóle do karmy trzeba dodawać mąki kostnej, soli fosforowo-wapiennych. Dobre wyniki daje dodatek tranu. Wodę szop musi mieć zawsze świeżą. Należy ją stawiać w szerokiem, kamiennem naczyniu. Lubi on przytem w wodzie płukać różne przedmioty, a w tem i jedzenie. Czyni to bardzo pociesznie z niezwykłą powagą. Jesienią musi dobrze jeść, aby się zaopatrzyć w tłuszcz na zimę. Zimową porą dużo śpi, a w największe zimna w ciągu 3 — 4 tygodni nie daje się pokarmów zupełnie. Gdy śnieg pokryje zagrodę, woda jest zbyteczna— zastąpi ją śnieg.

W drugiej połowie listopada radzą już samicę trzymać razem z samcem t. j. aby dowolnie chodziły przez tunele. Okres cieczki u szopów rozpoczyna się w końcu stycznia lub na początku lutego. Trzeba wówczas zachować spokój. Parzenie da dobre wyniki, gdy zwierzątka przeszły okres zimowego głodowania. Początek cieczki można zauważyć, gdy samiec zaczyna obwąchiwać natarczywie samice, ustawicznie mrucząc, wchodzi przytem do jej gniazda, obwąchując ściany, podłogę i t. d.

Okres ciąży trwa 63 dni. Samica wydaje na świat 2 — 6 młodych. Pierwiastki dają zazwyczaj mniej, samice starsze więcej potomstwa. Gdy samica jest już dość gruba, należy usunąć samca zupełnie. Na tydzień przed wykotem samica urządza już gniazdo, wydziera z brzucha sierść i t. d. Gdy samica wieczorem nie je zupełnie, jest to wskaźnikiem, iż na drugi dzień po południu wyda na świat młode. W ciągu dwóch dni od wykotu samica nic nie je, trzeba tylko pamiętać, aby miała czystą wodę. Gdy młode coraz więcej potrzebują od matki pokarmu, należy zwiększać jej racje pożywienia. Na siódmy tydzień małe już zaczynają wyłazić do zagrody, a gdy mają około trzech miesięcy, są już zupełnie samodzielne i mogą być usunięte od samicy. Młodym należy dawać jedzenie dwa razy dziennie, rano i późno wieczorem (szopy są w zasadzie zwierzętami nocnemi). Zwierzęta młode są niezwykle zabawne, mają w sobie wiele zarówno z niedźwiedzia, jak i małpy, a są przytem chytre, jak lisy. Oswojony szop jest miłem stworzeniem, a zagranicą obecnie ekscentryczne damy trzymają je w domach, prowadzają na spacery i wożą w autach. Nabyć szopy zarodowe nie trudno i możemy ułatwić każdemu to zadanie.

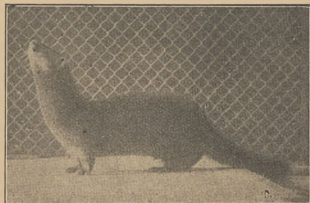
HODOWLA NOREK.

Norka europejska (Putorius lutreola, Mustela lutreola) jest to małe zwierzątko zbliżone do kuny leśnej, a pod względem zoologicznym przedstawia niejako formę przejściową, między kuną a wydrą. Różni się od kun i tchórzy bardziej zaostrzonym pyszczkiem i posiada zaczątki pletw między palcami nóg. Dosięga 40 cm. długości, w tem na ogon przypada około 14 cm. Do celów hodowlanych najbardziej nadaje się północno-amerykańska odmiana norki (Putorius Vison „Mink"). Odmiana ta posiada futerko błyszczące o gęstem podszyciu, ciemno brunatnej maści. Futerko norki jest poszukiwane w handlu kuśnierskim pod nazwą „nurków".

Norki w stanie dzikim zamieszkują wybrzeża rzek i jezior. Żywią się zazwyczaj żabami, rybami, ślimakami, małemi zwierzątkami ciepłokrwistemi oraz ptaszkami. Rozmnażają się raz do roku na wiosnę. Okres ciąży trwa 45 — 60 dni. Okres cieczki przypada na luty, marzec, czasem w kwietniu nawet. W rzucie dają 4 — 6 młodych, bywają jednak wahania i większe, bo poczynając od 2 sztuk do 10-ciu. Doświadczenia nad hodowlą norek prowadzone przez szereg lat na fermach amerykańskich, dały znakomite wyniki i obecnie hodowla tych cennych zwierzątek rozwija się w Europie zachodniej, a nawet i w naszym kraju jest już w zapoczątkowaniu. Za hodowlą tych zwierzątek przemawia łatwość chowu i niezbyt znaczne koszta jej zapoczątkowania. Do niedawna hodowlę norek urządzano obowiązkowo nad wodą, obszar przeznaczony na hodowlę otaczano siatką ocynkowaną, którą przeprowadzono przez wodę, wkopując ją przeszło na pół metra w ziemię i t. d. Jeszcze dziś w Ameryce istnieje szereg farm w ten sposób urządzonych. Dalsze jednak obserwacje wykazały, iż dla pomyślnych wyników hodowli norek bynajmniej nie konieczne są tego rodzaju urządzenia, a w zupełności wystarczy woljera przenośna wymiarów następujących: 130 cm. długości, 100 cm. szerokości i 60 cm. wysokości. Woljerę buduje się z drewnianych ram, na które naciąga się siatkę drucianą, ocynkowaną, o dość gęstych oczkach (2 cm.). Woljerę ustawia się na nóżkach drewnianych, aby dno woljery (które jest również z siatki) unosiło się na 30 cm. nad powierzchnią ziemi. Do woljery dotyka budka — gniazdo zbudowane z desek z podwójnemi ścianami, między które dla ciepła kładzie się torf. Budkę dzieli się wewnatrz na dwie części ścianką drewnianą. Z jednej do drugiej prowadzi mały otwór. Ociepla się torfem właściwie tylko jedną część, którą wyściela się sianem dla ciepła. Aby w budce zrobić porządek, daszek budki (pokryty papą) powinien być przytwierdzony na zawiasach, aby go można było unieść do góry. Z woljery do budki prowadzi zbity z desek tunel, przyczem otwory wejściowe należy robić nie wprost, lecz z boku, gdyż przez to wiatr wprost nie wieje do wnętrza budki, a po drugie w budce jest ciemniej i bardziej odpowiada to naturze norek. W tunelu przy wejściu do budki trzeba zrobić zasuwę, aby w razie czyszczenia czy to woljery, czy też budki, izolować zwierzątko, aby nie uciekło. Woljery z norkami ustawia się obok siebie w ten sposób, aby w środkowej woljerze był samiec, a z obu stron tegoż — samice. Między woljerami urządza się również tunele z desek z zasuwami, aby w czasie rui można było zwierzątka połączyć. Zazwyczaj z zachowania samiczek można wywnioskować, kiedy należy je parować. Gdy się zasuwę odsunie i zwierzątka się zejdą, trzeba uważać, jak się samiczka odnosi do samca. O ile spokojnie i przyjacielsko, można samca pozostawić na noc, w przeciwnym razie na noc rozdzielić.

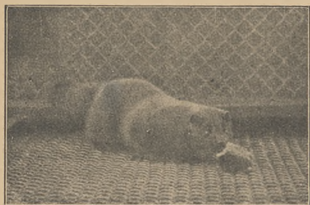
Gdy nastąpi wykot, w przeciągu trzech tygodni nie wolno otwierać do gniazda. Samica zazwyczaj bardzo pieczołowicie karmi młode do 8 tygodni. To





też młode należy pozostawić u samicy jaknajdłużej. Będąc niepokojoną, samiczka wynosi swe małe z gniazda i w rezultacie je pozaziębia i t. p.

Jako pożywienie dla norek używa się: mięso surowe, świeże nietłuste, młode króliki, świeże ryby wszelkiego rodzaju, myszy, jaja; norki lubią bardzo niewyklute z jaj pisklęta, tak zwane zamarlaki (byle nie były zepsute, bo te są szkodliwe), żaby, pozatem należy im dawać różne jarzyny, owoce i potrawy mączne, a więc gotowany ryż, płatki owsiane, marchew, nadto pożądanem jest mleko oraz dodatek tranu do karmy. Karmi się norki dwa razy dziennie. Woda musi być zawsze poddostatkiem. Najlepiej dawać je w ciężkich, szerokich naczyniach kamiennych. Wyżywienie norki w ciągu roku przy stosowaniu kupnych pasz wynosi około 75 zł. Cena futerka norki w handlu waha się około 350 złotych.



Jak widzimy, urządzenie hodowli norek nie jest zbyt trudne, chodzi jednak o to, aby zwierzątka miały spokój i nie były niepokojone przez psy i t. d. Jest to hodowla, która najbardziej może być polecaną w warunkach naszego kraju. Ongiś norki były u nas w dzikim stanie bardzo nawet pospolite, dzisiaj niema co i marzyć o zapoczątkowaniu hodowli, łowiąc okazy dzikie, tembardziej, że z dzikiemi zwierzątkami początki hodowli są zawsze trudne. Natomiast materjał hodowlany nabyć dziś łatwo i interesującym się tą sprawą mogę ułatwić nabycie pierwszerzędnego materjału. Dzisiaj ceny na materjał hodowlany nie są wszakże tanie, ale trzeba przecież zaczynać hodowlę biorąc materjał pewny. Para norek amerykańskich z Alaski o ciemnem futerku kosztuje około 250 dolarów. Norki kanadyjskie dochodzą do 350 dolarów.

M. TRYBULSKI.

O SZKODLIWOŚCI NIEKTÓRYCH POKARMÓW DLA ZWIERZYNY I POWODOWANYCH PRZEZ NIE ZATRUCIACH.

Skutkiem intensywnej gospodarki zarówno leśnej jak i polnej, zwierzyna narażona jest niejednokrotnie na brak odpowiedniego dla jej organizmu pożywienia, które instyktownie sama sobie wyszukuje.

Ten brak naturalnego i właściwego dla danego gatunku zwierzyny pożywienia szczególnie dotkliwy jest dla jeleni i sarn, powodując słabą budowę, rozmaite zaburzenia w organach trawienia oraz małą odporność organizmu na wszelkie choroby.

Znany i w niektórych miejscowościach bardzo rozpowszechniony nałóg jeleni i nawet sarn obgryzania wierzchołków młodych drzew szpilkowych przypisać należy w dużej mierze brakowi drzew liściastych, których pączki, zarówno jak młode pędy i kora są dla organizmu tych zwierząt niezbędne.

Czy i w jakim stopniu rośliny trujące są dla zwierzyny niebezpieczne, dotychczas nie można było tego stwierdzić, wiadomo tylko, że zwierzyna unika ich instyktownie. O wiele większe natomiast niebezpieczeństwo dla zwierzyny tkwi w spożywaniu roślin, które bądź dlatego, że uległy zepsuciu, lub że spożyte zostały w zbyt dużej ilości, mogą być dla zdrowia bardzo szkodliwe i spowodować zatrucia, niejednokrotnie nawet śmiertelne, jak np. choroba zwana lupinozą, którą wywołuje zatrucie łubinem.

Zarówno jelenie jak i sarny bardzo chętnie jedzą grzyby, co osobiście wielokrotnie stwierdziłem, przyczem zauważyłem, że jedzą nietylko grzyby uważane przez nas za jadalne, ale nawet i trujące. Ponieważ obserwacje moje dotyczyły nietylko jeleni i sarn będących na wolności, ale i znajdujących się w lesie, w ogrodzeniu, przeto stwierdzić mogłem niezbicie brak następnie jakichkolwiek objawów niedyspozycji, czy zatrucia. Podobnie jak jelenie i sarny, chętnie również jedzą grzyby i dziki a nawet, jak niektórzy utrzymują, i lisy.

Największe zło i niebezpieczeństwo tkwi w nieodpowiednio stosowanem dokarmianiu zwierzyny zimową porą a przedewszystkiem w zadawaniu paszy suchej.

Zające np. wody nie piją, znajdując dostateczną jej ilość w roślinach, zwłaszcza o ile są one pokryte rosą. Zimową porą, o ile mają brak naturalnej paszy, zawierającej w sobie niezbędną ilość wody, żywią się suchą paszą, jak siano, koniczyna, a nawet słoma, co jednak wywołuje bardzo poważne choroby kiszek i żołądka. Pasza sucha z trudem może być tylko trawiona, wywołując nadmierną pracę kiszek, przekrwienie i stan zapalny błon śluzowych. Praktyka wskazała, że podczas śnieżnych zim zające daleko łatwiej przezimowują, gdy nie są wcale dokarmiane, aniżeli wówczas, gdy dostają paszę wyłącznie suchą. Nie będąc dokarmiane zupełnie, szukają sobie wówczas pożywienia takiego, które choć w minimalnej ilości zawiera jednak w sobie wodę, jak np. gałązki drzew liściastych oraz kora.

Toż samo dotyczy jeleni i sarn, dla których sucha pasza jest również bardzo szkodliwa, szczególnie w tych wypadkach, gdy w danej miejscowości brak jest wody, która mogłaby być zastąpiona wodą zawartą w roślinach. — Do jakiego stopnia woda jest niezbędna dla organizmu zwierząt, dowodem jest to, że w licznych wypadkach stwierdzonem zostało lizanie lub zjadanie nawet śniegu, zarówno przez jelenie, jak i sarny.

Jako pasza zawierająca znaczną ilość wody, najwięcej godna polecenia jest kapusta pastewna, która nie ulega psuciu nawet podczas silnych mrozów.

Podobnie jak wszystkie zwierzęta przeżuwające, jelenie i sarny potrzebują, obok paszy treściwej, znacznej ilości paszy objętościowej, obfitującej w białko oraz sole wapniowe i fosforowe. Brak paszy objętościowej powoduje objawy chorobliwe, jak lizawość, a niezawodnie jest również powodem nałogu obgryzania młodych pędów drzew iglastych w braku liściastych.

Jedynym wskazanym środkiem jest zadawanie w zimie znacznej ilości suszonych gałązek drzew liściastych, przygotowywanych podczas lata, oraz urządzenie jednocześnie lizawek z soli z domieszką wapna fosforowego.

Pasza przeznaczona do dokarmiania zwierzyny w zimie powinna być zdrowa, t. j. wolna od wszelkich zarazków chorobotwórczych, jak pleśń, zgnilizna i t. p. Pokarmy łatwo ulegające zepsuciu skutkiem mrozów, jak buraki i kartofle, należy zadawać w niewielkich ilościach, przestrzegając, aby resztki niedojedzone i zepsute nigdy nie zostawały.

Siano i koniczyna oraz wszelkie rośliny łąkowe, o ile są dawane, nie powinny pochodzić z miejscowości, które skutkiem powodzi mogły ulec zamuleniu. Szkodliwe są też niezmiernie niektóre rodzaje grzybków, sadowiących się na liściach roślin, jak np. grzybek zwany Polydesmus exitiosus. Grzybek ten, który sadowi się głównie na rzepaku, tworzy rdzawe,

czarno-zielone lub brunatne plamy. Nietylko liście rośliny dotkniętej grzybkiem, ale nawet ziarno, względnie makuch z takiej rośliny jest bardzo niebezpieczny i wywołać może chorobę zwaną rzepakową. Sarny dotknięte tą chorobą mają wygląd jakby sparaliżowanych przy jednoczesnej biegunce i objawach zbliżonych do tych, jakie towarzyszą przy chorobie racic i pyska.

Drugim rodzajem grzybka niebezpiecznego dla sarn, który sadowi się wyłącznie na koniczynie, jest Phyllachora Trifolii, od którego listki od spodu oraz łodygi dostają czarnych plam. Objawy zatrucia są bardzo zbliżone do tych, jakie powoduje grzybek Polydesmus exitiosus. Trzecim rodzajem grzybka jest wreszcie Phytophthora infestans, który sadowi się na kartoflach, powodując zamieranie części porażonych i tak zwaną suchą zgniliznę. Kartofle w tym stanie są ciężko strawne, nie powodują jednak poważniejszych chorób, bardzo niebezpieczne są natomiast wówczas, gdy sucha zgnilizna przechodzi w mokrą.

W literaturze łowieckiej spotyka się często wypowiadane zdania o szkodliwości i niebezpieczeństwie karmienia paszą zmarzniętą. — Pogląd ten wydaje się być mylnym oczywiście z tem zastrzeżeniem, że dotyczy to paszy zdrowej zmarzniętej, ale nie zmarzniętej uprzednio zepsutej.

Zwierzyna zasadniczo je niechętnie podczas silnych mrozów wszelkie rośliny okopowe, całkowicie zmarznięte, więc już choćby z tego względu trudno mówić o niebezpieczeństwie z tego powodu. To, że pewna ilość krochmalu zawarta w okopowych ulega pod wpływem mrozu zamianie na cukier, z punktu widzenia szkodliwości dla zdrowia, nie ma żadnego znaczenia. Duże niebezpieczeństwo natomiast tkwi w zadawaniu okopowych, które po uprzedniem zmarznięciu ulegają zepsuciu i zgniliźnie, w którym to wypadku powstaje cały szereg substancyj trujących.

S. KAMOCKI

NIEBEZPIECZEŃSTWO SPOŻYWANIA MIĘSA ZWIERZĄT ZATRUTYCH.

Wiadomem jest, że dzicy od najdawniejszych czasów stosowali i stosują do celów myśliwskich, napaści lub obrony, strzały, których ostrza zatrute są truciznami, działającemi gwałtownie i śmiertelnie nietylko na organizm zwierząt, ale i ludzi. Pomimo to mięso zwierząt w ten sposób upolowanych jest przez nich spożywane bez wywoływania jakichkolwiek objawów zatrucia. Oczywiście możliwem jest, że w każdym poszczególnym wypadku t. j. zależnie od celów obrony, lub celów łowieckich, stosowane są przez nich inne rodzaje trucizn, niewątpliwie jednak trucizny działające śmiertelnie na organizm zwierząt, działać muszą w tymże stopniu i na organizm ludzki.

Czemże sobie objaśnić w tym wypadku tę nieszkodliwość mięsa zwierząt padłych skutkiem zatrucia?

Należy przedewszystkiem odróżnić fakt stwierdzenia drogą analizy chemicznej obecności trucizny we wnętrznościach, krwi i mięsie, od możliwości oddziałania odpowiedniej jej dozy w stosunku do spożytego mięsa na organizm ludzki.

Na 10 kg. wagi ludzkiej śmiertelna dawka strychniny wynosi 1 mg., gdy natomiast na 100 kg. wagi zwierzęcia potrzebne jest około 0,1 gr. Jeżeli zatem człowiek zje 1 kg. mięsa, to ilość spożytej w ten sposób strychniny wyniesie nawyżej 1 mg., a zatem kilkakrotnie mniej, aniżeli jest to konieczne dla śmiertelnego zatrucia.

Doświadczenia czynione w tym kierunku przez Fröhnera i Knudsena na psach i wreszcie na samych sobie dowiodły, że nawet tak silnie i wyjątkowo na organizm ludzki działająca trucizna, jak Eserina, żadnych następstw za sobą nie pociąga, o ile tylko dawka trucizny nie przekracza normy, jaka jest wystarczająca li tylko dla zabicia zwierzęcia, którego mięso ma być spożyte. Przez stosowanie dawki nadmiernej, oczywiście osiągnęłoby się nietylko zabicie, ale już i zatrucie mięsa, w tej mierze, że spożycie go dla organizmu ludzkiego byłoby śmiertelne.

Badania chemiczne mięsa zwierząt zatrutych wykazały, że samo mięso zawiera minimalne ilości trucizny z tego powodu, że tkanki żyjące nadzwyczaj szybko truciznę rozkładają.

Natomiast kiszki i żołądek zawierają zawsze znacznie większe ilości trucizny, tem też należy sobie objaśnić, że zwierzęta dzikie, drapieżne, które nie ograniczają się do zjadania mięsa padliny zatrutej, ale zjadają najczęściej i przedewszystkiem wnętrzności, zazwyczaj skutkiem tego padają.

Ciekawą niezmiernie rzeczą jest, że istnieje szereg trucizn, które dla organizmu zwierząt są zupełnie nieszkodliwe, gdy odwrotnie dla ludzi są bardzo niebezpieczne.

Doświadczenia z rośliną Atropa belladonna — wilcze jagody, wykazały, że zarówno zające, jak króliki są na nią zupełnie niewrażliwe. Śmiertelna doza Atropiny znajdującej się w wilczych jagodach wynosi dla królika 1,0 gr. — gdy natomiast dla człowieka wynosi ona 0,1 gr. Trucizna ta może się nagromadzić w mięśniach królika w takiej ilości, że spożycie mięsa stać się może śmiertelne.

Oczywiście ani zające ani króliki znajdujące się na wolności, na szczęście dla myśliwych, nie objadają się liśćmi z wilczych jagód, a powyżej oparte twierdzenie oparte jest li tylko na doświadczeniach specjalnie w tym celu przeprowadzonych. Ale nietylko zwierzęta, lecz i niektóre gatunki ptaków są na trucizny niewrażliwe.

W południowych okolicach Węgier rośnie na ścierniach roślina trująca, zwana dziędzierzawą (Datura Stramonium). W sierpniu roślina ta dojrzewa i nasiona jej stanowią przysmak dla licznych tam stad przepiórek, których odstrzał roczny wynosi około 60 000 sztuk. Spożycie mięsa takich przepiórek powoduje ból głowy, mdłości, boleści, biegunkę, drętwienie karku i wreszcie wymioty, po których objawy choroby znikają momentalnie.

Charakterystyczne przy objawach tej choroby jest to, że nie wszyscy jej podlegają, pomimo spożycia przepiórek odstrzelonych z tegoż stada, a więc wedle wszelkiego prawdopodobieństwa takich, które żywiły się dziędzierzawą.

Objaśnić sobie to można tem tylko, że niektóre z przepiórek z tegoż stada pochodzące miały wnętrzności niedokładnie lub niedbale usunięte, co jest również potwierdzeniem teorji, że nietyle mięso, ile wnętrzności gromadzą w sobie substancje trujące, szkodliwe dla organizmu ludzkiego.

S. KAMOCKI.

OKREŚLANIE WIEKU U GŁUSZCA

Wielu myśliwych i przyrodników jest zdania, że przy określaniu wieku głuszca miarodajnemi jedynie są: ciemniejsza, lub jaśniejsza barwa piór na skrzydłach i w ogonie, większa lub mniejsza ilość plam białych na ogonie i piersi i wreszcie długość piór na podgardlu i szerokość piór, a nawet ilość ich w ogonie.

Twierdzono mianowicie, że im ciemniejszą jest barwa skrzydeł, im szersze są pióra w ogonie, im mniej jest plam białych na piersi i w ogonie i wreszcie im dłuższe są pióra na podgardlu, tem głuszec jest starszy. Ściślejsze określenie wieku głuszca uważano wogóle za niemożliwe.

Jak nowsze badania wykazały, powyższe twierdzenia są zupełnie bezpodstawne, gdyż barwa piór oraz ilość plam białych nie jest zależną od wieku, stanowi natomiast niejako cechę charakterystyczną dla głuszców pochodzących z danej okolicy.

Według teorji wybitnego ornitologa i kustosza jednego z muzeów przyrodniczych, niejakiego Martiniego, wiek głuszca daje się ustalić dokładnie jedynie na zasadzie cech charakterystycznych, uwidaczniających się z wiekiem na dziobie.

Ciekawe spostrzeżenia swoje opiera Martini na doświadczeniach prowadzonych systematycznie w ciągu 30-tu lat, przez który to okres czasu badał około 30 do 50 głuszców rocznie. Wedle Martiniego jedynie miarodajna przy określaniu wieku głuszca jest pewnego rodzaju wypukłość w górnej części dzioba u nasady, tuż za otworami nosowymi.

W pierwszym i drugim roku dziób głuszca jest jasno żółtawego koloru. W trzecim roku tuż za nasadą dzioba tworzy się wypukłość, zakańczająca się jakby żłobkiem w kierunku końca dzioba. Barwa tej wypukłości staje się coraz ciemniejszą.

Począwszy od czwartego roku, wyżłobienie na dziobie staje się coraz więcej wyraźne. Od piątego roku koniec dzioba zaczyna się wydłużać i zakrzywiać z każdym rokiem coraz więcej, przyczem i wyżłobienie przedłuża się ku końcowi dzioba w ten sposób, że u starego głuszca dochodzi ono już prawie do samego końca, co jest wówczas oznaką, że głuszec przekroczył już 10 rok życia.

Teorja powyższa została przez nas sprawdzoną i, na ile rozporządzalna ilość zbadanych głuszców na to pozwoliła, znalazła pełne potwierdzenie.

Byłoby jednakże bardzo wskazane, aby pp. członkowie Instytutu jak i wogóle myśliwi zechcieli również ze swej strony powyższą teorję Martiniego praktycznie zbadać i sprawdzić, dzieląc się swemi spostrzeżeniami z ogółem myśliwych.

Instytut Łowiectwa.

ODEZWA.

W ostatnich czasach coraz częściej zdarza się, że pp. myśliwi, którzy nie uważają za celowe należenie do grona członków Instytutu Łowiectwa, bardzo chętnie korzystają z jego usług, co szczególniej uwidacznia się, gdy chodzi o dokonywanie sekcji i badań zwierzyny padłej skutkiem chorób.

Zaznaczyliśmy już wielokrotnie na łamach „Łowca Polskiego", że celem Instytutu jest służenie swym członkom we wszelkich sprawach z łowiectwem związanych, nie możemy natomiast wykonywać darmo czynności, które, jak sekcje i badania bakterjologiczne pociągają za sobą nietylko pewien nakład pracy, ale i wydatki.

W sprawie odpowiedzi na pytania fachowe, kierowane do Instytutu, zaznaczamy, że odpowiedzi dawać będziemy pp. członkom wyłącznie za pośrednictwem „Łowca Polskiego", nie zaś, jak to miało miejsce dotychczas, drogą korespondencji.

Instytut Łowiectwa.

Redaktor: inż. Stanisław Kamocki.

Myśliwski Konkurs Fotograficzny.

Redakcja „ŁOWCA POLSKIEGO", dążąc do udoskonalenia strony ilustracyjnej pisma, zwyczajem dorocznym, ogłasza niniejszem myśliwski konkurs fotograficzny i wzywa ogół myśliwych do nadesłania ciekawych i pięknych zdjęć łowieckich, które nadawałyby się do reprodukcji w naszem piśmie.

Nazwisko należy pomieścic w zamkniętej kopercie zaopatrzonej w to samo godło, co i nadesłane fotografje.

Przedmiotem zdjęć mogą być sceny z polowań, zwierzyna żywa i ubita, piękne psy myśliwskie oraz trofea łowieckie.

Jako nagrodę I wyznaczamy zł. 100, drugą — zł. 75, trzecią — zł. 50 czwartą i piątą po zł. 25.

Termin nadsyłania zdjęć upływa z dniem 1 października. Nagrodzone fotografje zostaną zamieszczone w „Łowcu Polskim"; pozostałe zaś — zależnie od uznania Redakcji.

„Jury" stanowi Komitet Redakcyjny.

Warunkiem otrzymania dobrej kliszy drukarskiej, a następnie dobrej reprodukcji — jest dobra, ostra fotografja na papierze bromosrebrnym; kolor jej nie może być bronzowy (sepjowy).

REDAKCJA „ŁOWCA POLSKIEGO".

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka, Warecka 15.